

Kamena

LUBLIN 18.VIII.1968 Nr 17 (398) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

WITAMINY

(komponenta artystyczna)

Melchior Wańkiewicz

Sztuka jest niczym, jeśli nie jest oparta na rzeczywistości; ale rzeczywistość jest bez znaczenia (insignifiant) bez artysty.

A. Camus

REPORTAŻ dziesiętnastowieczny nie ma jeszcze pretensji do artysty. Wisi na dokładnościach. Oto jak pelen gorliwości reporterskiej (aż do samoobrzezania) Ryszard Burton opisuje Brigham Younga: Zrzadka dojrzyś siwy włos w jego włosach rozdzielonych na stro-

ny, jasnych, raczej grubych, zakrywających uszy lokami. Czoło jest nieco wąskie, brwi cienkie, oczy między szarym i błękitnym kolorem z wyrazem spokojnym, opłanowanym, o wyrazie nieco (somewhat) wyrażającym rezerwę. Nos jest cienki i raczej ostro zakończony, nieco skrzywiony na lewo. Usta wąskie i zęby, zwłaszcza w górnej szczęce, nie w porządku. Policzki są raczej mięsiste i linia między nosem i ustami przelamana. Podbródek jest nieco spiczasty. Twarz czysto ogolona z wyjątkiem pod szczękami, gdzie został nieknięty zarost. Ręce są kształtne, nie zeszczone pierścieniami. Postać

jest nieco duża, szeroka w barkach, nieco zgarbiona, kiedy Brigham Young stoi. Ubranie jego jest proste, szare z wyjątkiem kamizelki i krawata. Marynarka skrojona staromodnie i workowata, tak jak i spodnie. Guziki czarne. Krawat — szeroka kokarda, luźno leżąca pod niekrochmalonym kołnierzem. Kamizelka z czarnej satyny... Burton aż się pocił, aby najdokładniej informować, najeżając w swojej skrupulatności relację słowami restrykcji, które podkreśliłem w tekście.

Z tego wszystkiego czytelnik wiele wie o wyglądzie Brigham Younga, ale niewiele go widzi. O ileż lepiej

już pisze Gunther, chomik-reporter, tak samo gubiący się w szczegółach, tak samo nie dający syntetycznych obrazów: Głowa jego przypominała dynię z wydrążonym kółkiem ust w środku.

Co tu nastąpiło? Po prostu, mimo całej dokładności opisu nie zdołali oddać całej prawdy.

Fakty czytelnika nie nasycą — mawiał przed wojną redaktor „Vassische Zeitung” — o ile są podane w stanie surowym; reporter musi je nie tylko przyrządzić, ale przeżyć, przemieszać z własną śliną, aby czytelnikowi pozostawić tylko przyjemną funkcję lekkiego trawienia.

Zdarzenie, które opisuje reporter, jest jak góra lodowa pływająca w oceanie. Reporter ją sfotografuje, pomierzy, opisz jej wygląd ze wszystkich stron, stwierdzi szybkość jej dryfowania! Ale przecie nad powierzchnią tkwi jedna dwunasta tego groźnego, tego olbrzymiego faktu, jakim jest góra lodowa. Okazało się, że, jak pisze dr William Tolley, kanclerz uniwersytetu w Syrakuzach sumienny tylko reportaż nie rozwiązuje naszych

(Ciąg dalszy na str. 4)

O czym dyskutować przed V Zjazdem PZPR?

MIMO okresu urlopowego życie polityczne coraz większą falą obejmuje cały kraj. Na łamach prasy, w radiu i w telewizji, na zebraniach organizacji partyjnych i komórek Frontu Jedności Narodu rozwija się dyskusja nad tematami na V Zjazd PZPR. Bierze w niej udział całe społeczeństwo, bo problemy, które są w tych latach przedstawione, to problemy całego narodu — członków partii, członków stronnictw politycznych, całego narodu.

Dyskusja została właściwie zainicjowana powszechnym Czynem Zjazdowym, który stał się miernikiem politycznego i społecznego zaangażowania. W kilku reportażach — z puławskiego kombinatu azotowego, budowy w Krasnymstawie, fabryki helikopterów w Świdniku — „Kamena” starała się pokazać, jak przebiega realizacja tego Czynu. Obecnie pragnąc dostarczyć materiału do przedjazdowej dyskusji, rozpoczynamy cykl krótkich, monograficznych materiałów, ilustrujących postęp, jakiemu dokonano w Polsce Ludowej a szczególnie w woj. lubelskim, w różnych dziedzinach — oświacie, kulturze, przemyśle, rolnictwie, budownictwie itd.

Dzisiaj na str. 3 pierwszy materiał z tego cyklu. Wydaje nam się, że jest on ilustracją do następujących sformułowań z VI części tezy:

„Partia nasza z wielką troskliwością odnosi się do młodego pokolenia — do jego przygotowania zawodowego, zatrudnienia i wychowania ideowo-politycznego. Wysiłkiem całego narodu, kosztem wielkich nakładów społecznych zapewnimy młodzieży lepsze niż kiedykolwiek warunki kształcenia się, pracę zgodnie z nabytymi kwalifikacjami oraz szerokie możliwości uczestniczenia w życiu kulturalnym i sportowym. Może ona uczyć się, pracować i żyć coraz lepiej z pożytkiem dla siebie i narodu. Pełne wykorzystanie tych warunków stwarza wielką szansę dla młodzieży i musi iść w parze z wychowaniem ideowo-politycznym, z zaangażowaniem młodzieży w budownictwo socjalizmu”.

Erich Fried

(Austria)

42 uczniów

Jak daleko jest z Guerniki do Man Quang? Z Waszyngtonu do Berchtesgaden? Z Monachium do Pragi? Z Berlina i Moskwy do Warszawy?

A jak daleko było z Guerniki do Man Quang? Rok i pięć miesięcy to niezbyt daleko. Jak daleko było z Guerniki do Warszawy, od Hitlera do kogo i do jakiego kraju?

Z Sajgonu do Hanoi — tak daleko jak z Berlina do Kijowa albo z Münster w dół do Guerniki.

Szukałem Guerniki na mapie bo nie umiałem inaczej przedstawić sobie Man Quang.

Czego uczniowie z Man Quang uczyli się o bombach? Czego uczyliśmy się my o uczniach z Man Quang? Czego uczyliśmy się my o Guernice i Polsce, o Coventry, Stalingradzie, Dreźnie, Nagasaki, Suezie, Sakiecie?

Ze to jest całkiem niedaleko albo że jeszcze niedaleko albo że to już wkrótce nastąpić może? Rodzice biorą dzieci w trumnaach, aby je zanieść do żołnierzy.

Ale żołnierze ich odpychają, więc niosą je z powrotem do Man Quang.

Przełożył Leopold Lewin



Z lubelskiego Roztocza

Fot. Zbigniew Zugaj

O ABIDZANIE mówi się, że to Paryż zachodniej Afryki. Wszystko co tutaj wielkie, piękne i nowoczesne zbudowano niedawno, według ostatniego słowa techniki i architektury. Europę podlano afrykańskim sosem. Młodzi architekci francuscy przyjeżdżali tu na praktykę, aby się wyszaleć i przy okazji zarobić. Potraktowali stolicę Wybrzeża Kości Słoniowej jako poligon doświadczalny.

Z portu, w którym zacumował „Lublin”, do centrum ze trzy kilometry. Idzie się, albo jedzie, przez typową portową dzielnicę, później przez setki razy sfotografowany i pokazywany niemal w każdej książce o „czarnej” Afryce, długi most nad laguną Ebric. Białemu w Afryce nie wypada chodzić pieszo. Biali powinni mieć samochód albo pieniądze na taksówkę.

Niektóre dzielnice Abidżanu przypominają parki. Ale Abidżan jest nie tylko zielony. Abidżan jest przede wszystkim biały. Na okładkach kolorowych tygodników białe kobiety i biali mężczyźni. Biały na reklamowym plakacie pije coca-cola. W informatorze „Allo Abidżan” dziesiątki fotografii: ani jednej murzyńskiej twarzy. W kinach dla pospólstwa i dla elity grają filmy z białymi aktorami. Ale do

białego, bogacącego się śródmieścia weszła już czarna elita: właściciele rozległych plantacji kawy i kakao, kupcy, arystokracja rodowa, noworzyse. Jeden — dwa procent społeczeństwa Wybrzeża. W śród-

bleńdniejszy od bogatego czarnego, ale zawsze będzie patrzył na niego z kopca wielu wieków cywilizacji. Mieszkają w jednej dzielnicy, ale żyją obok siebie. Towarzysko są sobie niepotrzebni. Jeśli białemu

w wózku. To służący. Jest ubrany po europejsku. Wóz często prowadzi czarny, obok siedzi biała pani i jadą po zakupy. Albo czarny pan wychodzi z samochodu ze swoją białą żoną, którą przywioził z

Z »Lublinem« w Abidżanie

Janusz Koniusz

mieściu biali — ci z dawnej administracji kolonialnej, lekarze, właściciele firm i sklepów, wszelkiego typu doradcy, przede wszystkim Francuzi — zbratani się z bogatymi czarnymi. Fraternité. Pieniądz jest jak religia. Ludzie, którzy go posiadają, są sobie równi. Biali właściciele sklepu zabiega o pieniądze czarnego plantatora. Obaj zaś o pieniądze czarnego ministra, właściciela jeszcze większego sklepu, albo jeszcze większej plantacji.

Ale poznany przeze mnie biały dyrektor firmy nie utrzymuje kontaktów z czarnymi. Miłość tych dwu światów kończy się po podpisaniu czeku. Biały czasem jest

nie wiezie się w Abidżanie, wraca do Europy albo wyjeżdża do Ameryki. Ale to są sporadyczne wypadki. Liczba białych na Wybrzeżu Kości Słoniowej wzrasta z każdym rokiem. Obecnie dochodzi do 50 tysięcy.

Po Abidżanie biali i bogaci czarni jeżdżą samochodami. Na przystankach autobusowych, w zatłoczonych i dusznych autobusach, tylko czarni. Biali kupują w luksusowych sklepach. Czarni też, ale jest ich mniej. Biali prowadzą sklepy, inkasują pieniądze, czarni są ekspedientami. Młody czarny idzie za swoją białą panią i niesie na ręku dziecko albo wiezie je

Europy. Biała żona jest jego wizytówką. Mieszka z nią w Abidżanie, ale często na plantacji ma drugi dom, w którym żyją jego czarne żony. W Abidżanie jest Europejczykiem, na plantacji Afrykaninem.

Wielkie sklepy i magazyny urządzone są na wzór francuski. Te same plastikowe siatki przed wejściem, te same plastikowe półki, na których leżą te same towary, w tych samych opakowaniach. Ma się wrażenie, że to jeszcze Francja: Dunkierka albo Rouen, które odwiedziłem z „Lublinem”. Tylko czarni sprzedawcy w bordowych

(Dokończenie na str. 8)

Zmarli

W wieku 60 lat zmarł w Cervia koło Bolonii Giovanni Guareschi, pisarz włoski, jeden z najbarwniejszych postaci w tym kraju. Sam siebie określał jako „anarchistę antyklerykalnego, ale katolickiego”. Jest autorem bardzo popularnych we Włoszech utworów pod wspólnym tytułem „Mały świat Don Camilla”, w których propagował zbliżenie partii prawicowych do lewicowych.

We Wrocławiu zmarł wybitny historyk, prof. dr Karol Maleczyński. Pracował głównie nad historią Śląska i Wrocławia oraz ich związków z Morawami.

W czasie dyrygowania opera Wagnera „Tristan i Izolda” zmarł 60-letni dyryktor opery w Monachium, Józef Keilberth, poprzednio dyryktor opery w Hamburgu.

Literatura

Biblioteka Narodowa w Warszawie obchodził w tym roku 40-letnie powstanie. Przed wojną księgozbiór liczył 780 tys. tomów, 280 tys. spłonęło w czasie wojny. Obecnie zbiory obejmują 2 200 tys. tomów, 80 tys. starodruków i 73 tys. rękopisów.

W pierwszym kwartale br. Agencja Autorska zawarła z zagranicznymi kontrahentami 54 umowy na przekłady polskich dzieł, w tym 23 z literatury pięknej. Ponadto podpisano 12 umów na wystawienie polskich sztuk teatralnych i oper.

W konkursie literackim Polskiego Radia z okazji 25-lecia Ludowego Wojska Polskiego pierwszej nagrody nie przyznano. Dwie drugie nagrody otrzymali: Jerry Janicki za słuchowisko „Konczone wojnę czyli ballada o rybaka Karpie Antonim” oraz Andrzej Mularczyk za słuchowisko „Oddaj buty”.

Nakładem rumuńskiego wydawnictwa „Editura Universala” ukazały się „Siedem zegarków kopidota Joachima Rybki” G. Morcinka w przekładzie Teodora Holbana i „Granice istnienia” Marii Rutkiewicz w przekładzie Ireny Haziulinowicz.

Międzynarodowa nagroda literacka „Viareggio-Versilia” w wysokości 3 mln lirów otrzymał Aimé Césaire, deputowany francuski z Martyniki. „za całość twórczości, która słuzi kulturze, braterstwu narodów i pokojowi”. Kontrkandydatami byli R. Russell i prezydent Senegalu L. Senghor.

W Pampelunie, które jest miejscem wielu akcji w powieściach Hemingway'ego, odsłonięto pomnik pisarza na jednej z głównych ulic. Większość walk byków, opisanych przez autora, odbywała się właśnie tu.

Władze prowincji Quebec zakupiły za 4,5 tys. dolarów fotografie 254 pisarzy francuskich i 50 fotografii ich rękopisów — powstanie z tego wystawa, która będzie ekspozowana w całej Kanadzie.

Teatr

W 1967 r. teatr telewizyjny nadał 121 spektakli, w tym 103 premier i 18 powtórek. Ocenia się, że większość spektakli ogląda ok. 3 mln osób. W ciągu 13 lat swego istnienia teatr polskiej TV dał ponad 1 800 premier.

Balet Opery Poznańskiej dał po trzy spektakle w Trzecie i Turynie, sukces był olbrzymi. Polski zespół pod dyrekcją R. Sattanowskiego pokazał „Tempus Jazz” Milana i „Giselle” Adama.

W Kolozręgu oddano do użytku pięknie położony w nadmorskim parku amfiteatr na 3 tys. widzów. W okresie letnim będą się tam odbywały występy artystów zawodowych i zespołów amatorskich.

Pięć z kolei festiwal teatralny w Tunisie nie wzbudził zadowolenia widzów. Do występów bowiem dopuszczono tylko teatry grające w sposób najbardziej tradycyjny. Spektakle odbywały się wśród ruin Kartaginy.

Donosiłmy niedawno, że celem podreperowania finansów szwajcarskiego „Teatru popołudniowego” urzędowo licytacja dzieł sztuki, ofiarowanych przez zwolenników teatru. Obecnie gazety z Lucerny donoszą, że zamiast ok. 400 tys. franków osiągnięto tylko 130 tys., a to dlatego, że kupujący utworzyli coś w rodzaju zorganizowanego gangu, który nie pozwalał na podbijanie cen.

Poszukiujemy pięć tysięcy widzów ze zdrowymi żołdakami celem obejrzenia sztuki Johna Huberta „Fortune and Men's Eyes” — tak reklamuje się ostatnio Open Space Theatre w Londynie. Rzecz w tym, że przedstawienia zaczynają się w soboty o północy, a widzowie muszą zamówić solidne jedzenie.

Dużym powodzeniem w dziedzinie nowojorskiej Manhattan cieszą się występy teatru, który w zimie gra w sali, latem zaś na platformach, montowanych na ulicach. Najpierw grano Moliere'a, obecnie Czechowa.

Sztuka

Wzorem innych zakładów pracy również tarnowskie Azoty zorganizowały plener malarzy. Odbyły się także spotkania i dyskusje z robotnikami.

Galeria Tretlakowska, grupująca ok. 48 tys. dzieł sztuki, otrzymała nowy budynek, cztery razy większy od dotychczasowego. M. in. będzie tam biblioteka, poświęcona wyłącznie ilustracjom książkowym.

W sierpniu na wyspie jugosłowiańskiej Korcula odbędzie się spotkanie artystów z 11 krajów. Przybyście powoła wystawę własną, a ponadto są zobowiązani wykonać jakies wspólne dzieło dla władz miejscowych.

W grotach nadmorskich w Potudniowej Afryce odkryto bogate rezerwy osiedli przedhistorycznych, które istniały ok. 27 tys. lat temu. Archeolodzy dołączyli się już ok. 150 tys. przedmiotów, wykonanych z kamienia, brzozy, kości, drewna, gliny i innych materiałów.

Zamieszkały od lat we Francji hiszpański malarz i rzeźbiarz Juan Miro, zwany przez przyjaciół cudotwórcą współczesnego malarstwa, opędził 75-lecie. Z tej okazji do grofy pomorskiej na Łazurowym wybrzeżu spuszczono na stałe jedną z jego rzeźb, a rząd japoński przelał mu czek na sumę 1,5 mln franków. Ma wykonać wielkie freski ścienne oraz kilka rzeźb do pawillonu „Dom uśmiechu” na wystawie światowej w Osaka w 1971 r. Pawillon ma być poświęcony właśnie jemu.

Obecnie nie można określić malarstwa amerykańskiego. Nowe dzieła to

kolorowe powierzchnie o różnej intensywności światła, jakies bardzo proste lub zbyt skomplikowane struktury albo walek obrazy malowane farbami odblaskowymi — napisał francuski dziennik „Figaro”.

Zawsze ekstrawagancki Salvador Dali zamieszkał w nadmorskiej grocie i ubrały w skórę leoparda maluje serie komików o człowieku z 200 r., który co pół godziny zmienia płcie i którego wcielenie męskie zakochuje się we wcieleniu żeńskim. Niezależnie od tego wykonuje rzeźbę na Olimpiadę, która ma przedstawiać dyskobola, rzucającego słońcem w kosmos.

Muzyka

Hyszard Kwiatkowski ze Szczecina otrzymał jedyną na konkursie muzycznym w Nowym Jorku nagrodę za utwór „Kwartet na perkusję”.

Kantata na organy opus 26 Henryka Mikolaja Góreckiego z Katowic otrzymała pierwszą nagrodę w konkursie festiwalu muzyki organowej i kameralnej w Kamieniu Pomorskim.

W Muzeum Czartoryskich w Krakowie odnaleziono melodie z wedywiliu F. D. Książka „Trzy gody”, który najprawdopodobniej był wystawiony w Putawach w latach 1782-1785.

„Ars Polona” otrzymała od amerykańskiej firmy „Hermitage” zamówienie na polskie nagrania „Dzień wszystkich F. Chopina”. Podobne zamówienie nadeszło z Japonii.

Od 1 do 3 września odbędzie się w Krynicy drugi z kolei festiwal arki i pieśni im. Jana Klepury. Wystąpi m. in. Irena Zmarlińska, Maria Eggerth.

W nadchodzącym sezonie muzycznym Dawid Ojstra będzie dyrygował w Filharmonii Moskiewskiej cyklem koncertów, poświęconych jego ulubionemu kompozytorowi — Brahmsowi.

Doroczny cykl koncertów symfonicznych na placu przed pałacem książęcym w Monako rozpocznie się koncertem poświęconym muzyce rosyjskiej i radzieckiej. Grano m. in. Prokofiewa i Czajkowskiego. Dyrygował Igor Markiewicz, przy fortepianie Nikita Magalow.

Większość znawców zgadza się ostatnio, że najstarsze na świecie organy znajdują się w miejscowości szwajcarskiej Sion.

Różne

26 lipca odbyło się spotkanie przedstawicieli środowisk twórczych i działaczy kultury z kierownikiem Wydziału Kultury KC PZPR, Wincentym Kraską. Omawiano aktualne problemy kultury w świetle tez na V Zjazd PZPR.

W Paryżu była czynna niedawno druga już wystawa fotografii artystycznej Edwarda Hartwiga, obejmująca 50 prac.

Do Moskwy przyjechał na kilka dni Francuz Victor Lebrun, który był ostatnim sekretarzem osobistym Lwa Tolstoj. Obecnie hoduje pszczoły i powiada: — w odróżnieniu od niektórych ludzi ówe nigdy mnie nie zawiodły.

Na uniwersytecie w Dakarze ma być przeprowadzona gruntowna reforma nauczania na wydziałach humanistycznym i prawnym. Celem przeprowadzenia tej reformy oba wydziały zamknięto na cały rok.

Wytwórnia Filmów Fabularnych rozpoczęła nakręcanie w Bydgoszczy dwuseryjnego filmu „Sąsiedzi”, który ukaże się tragiczne a zarazem bohaterkie dzieło tego miasta i jego mieszkańców w czasie ub. wojny, a także historię miłośnika niemieckiej dziewczyny i polskiego malarzysty.

Zakończono już zdjęcia do pełnometrażowego filmu poświęconego Marii Skłodowskiej-Curie. Reżyserował Grzegorz Dubowski według książki Ewy Curie (scenariusz Józef Gruda). Tytułowa rolę w „Portrecie Marii” gra Anna Cieplewska.

Na ekrany kin radzieckich wszedł film St. Rólewicza „Westerplatte”.

Reżyser francuski, André Hunebelle, nakręcił nową wersję „Hrabiego Monte Christo”. Edmund Dantes będzie człowiekiem nowoczesnym, który pilotuje samoloty, prowadzi samochody wysiłkowe, jest mistrzem karate itp.



11-letnia Brazylijka, Leila Diniz, była swego rodzaju sensacją na ostatnim festiwalu w Mar del Plata dzięki roli w filmie „Edu, caraca de ouro”. Reporterom odpowiedziała, że nigdy nie wyjechała do Hollywood ani do Europy — „ponieważ nigdy nie będę gwiazdą. Nie mam na to warunków”. Czy rzeczywiście?



Fot. A. Kudala

ALFRED KUD, autor reprodukcji obrazu pt. „Akty socjotematy”, urodził się w 1931 r. Studia artystyczne w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie skończył w 1957 r. Udział w wystawach „Grupy XIV” oraz w ekspozycjach ogólnopolskich: „Polskie Dzieło Plastyczne w XV-lecie PRL” — Warszawa 1961, Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego — Szczecin 1962, 1964, XVI Festiwal Sztuk Plastycznych — Sopot 1963, Wystawa 4 Województw — Lublin 1963, Ogólnopolska Wystawa Młodego Malarstwa — Sopot 1965, II Wystawa Plastyczna i Sympozjum „Złotego Grona” — Zielenka Góra 1965. Wystawa indywidualna w Rzeszowie w 1962 r. i nagroda w konkursie „Lata 1961 w dziełach sztuki 1963. Prace w zbiorach MKiS oraz w ośrodkach prywatnych. Alfred Kud uprawia przede wszystkim malarstwo, genetycznie zbliżone do surrealizmu.

Notes „Kamery”

Józef Barecki

Uchronić pokolenia...

P O zakończeniu ostatniej sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych do stałego przedstawiciela Polski w ONZ, ambasadora Bohdana Tomorowicza, zwrócił się pracownik Polskiej Agencji Prasowej z pytaniem, jaki był wkład delegacji naszego kraju w pracę sesji.

— Duży i bardzo konstruktywny — odpowiedział delegat Polski i na dowód tego przytoczył garść bardzo interesujących szczegółów.

Przede wszystkim Polska była autorką lub współautorką kilku najważniejszych inicjatyw zatwierdzonych przez sesję w formie dokumentów lub uchwał. Na pierwszym miejscu trzeba wymienić przyjęcie przez Zgromadzenie raportu sekretarza generalnego ONZ o skutkach ewentualnej wojny atomowej. Z inicjatywą opracowania takiego dokumentu wystąpił swego czasu w ONZ Władysław Gomułka. Polskiemu przywódcy chodziło o udostępnienie opinii międzynarodowej materiału, który by powiedział całą straszliwą prawdę o niebezpieczeństwie, jakie niesie ze sobą wyścig atomowych zbrojeń, o wypełnienie niewiedzy w tej sprawie i zaangażowanie do działania na rzecz pokoju najszerszych kręgów społecznych. Kilka lat trwałoby opracowywanie raportu. Jego treść przekonała najbardziej obojętnych, raport został uchwalony jednomyślnie.

Inicjatywa Polski o szczególnym znaczeniu było również podjęcie prac nad konwencją o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych, uchwalenie deklaracji w sprawie praw kobiet i zatwierdzenie rezolucji potępiającej nazizm. W dziedzinie ekonomicznej delegacja polska była autorem i wnioskodawcą rezolucji o współpracy międzynarodowej w rozwoju przemysłowym oraz rezolucji o wspólnym działaniu krajów w ramach Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ. Polskiej delegacji brał aktywny udział we wszystkich zasadniczych posiedzeniach sesji kształtując stanowisko ONZ w ważnych sprawach współczesnego świata.

Ta aktywna rola Polski na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych jest wyrazem naszego ogólnego stosunku do zadań i działalności tej organizacji. Polska, członek koalicji antyhitlerowskiej, była jednym z państw — współzałożycieli ONZ, organizacji powołanej nie tylko po to, by — jak stwierdza Karta Narodów Zjednoczonych — uchronić przyszłe pokolenia od klęsk wojny, ale także by przywrócić wiarę w podstawowe prawa człowieka, stworzyć warunki dla panowania sprawiedliwości, pokoju i bezpieczeństwa.

Niestety, w historii ONZ były różne okresy. W swoim czasie działała tzw. „maszynka do głosowania” zmontowana przez Stany Zjednoczone dla zmajoryzowania krajów postępowych i narzucenia ONZ swego zdania, swej woli. Okres ten wyrządził wiele szkód w stosunkach międzynarodowych, do dziś zresztą egzystująca jego przetrzytni, nie przynosząc tej organizacji żadnej chwały. Należy do nich przede wszystkim używanie flagi ONZ przez interwencyjne oddziały amerykańskie, utrzymujące niesprawiedliwy podział Korei.

Mimo tych zjawisk wypacających idee Organizacji Narodów Zjednoczonych kraje socjalistyczne nie szczędziły wysiłków, aby ONZ działała prawidłowo, zgodnie ze swoim

przeznaczeniem. Nasz kraj wiedział, że przyjdzie czas, gdy ONZ odrzuci atmosferę zimnej wojny, powróci do postanowień Karty Narodów Zjednoczonych i zacznie skutecznie przywracać wiarę w podstawowe prawa człowieka.

Przełom nastąpił w drugim dwudziestoleciu istnienia ONZ. Kiedy w skład Organizacji weszli reprezentanci Trzeciego Świata „maszynka do głosowania” zaczęła zawodzić. ONZ poczęła w coraz większym stopniu kształtować współpracę międzynarodową umożliwiając konfrontację stanowisk i szukanie rozwiązań najbardziej zapalnych problemów współczesnego świata. W ONZ, a przede wszystkim w jej wyspecjalizowanych organizacjach, zaczęła się konstruktywna praca nad regulowaniem stosunków międzynarodowych.

W ostatnich latach ONZ przyjęła wiele niezwykle ważnych uchwał. Uznanie suwerenności państwa do ich bogactw naturalnych, przyjęcie Paktów Praw Człowieka, uchwała o demilitaryzacji przestrzeni kosmicznej, zapoczątkowanie pracy nad konwencją o zakazie użycia broni jądrowej, rezolucja wzywająca do likwidacji obcych baz wojskowych w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej i wreszcie najdonioślejsze z postanowień ONZ w ostatnich latach — uchwalenie układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej — oświadczenie o konkretnych przykładach ożywienia Organizacji i rozwoju jej konstruktywnego działania.

Dostrzegając te pozytywne zmiany trudno zapomnieć o tym, że w pracy ONZ, w jej strukturze i stosunku do wielu problemów światowych pozostało nadal wiele nieprawidłowości. Chodzi przede wszystkim o podstawową zasadę gwarantującą spełnienie przez ONZ swych zadań, o uniwersalizację jej składu. Nie jest ona nadal przestrzegana, do ONZ nie dopuszczono Chin Ludowych, Niemieckiej Republiki Demokratycznej i innych niezawisłych krajów. Z czasów amerykańskiej dominacji w ONZ pozostało zjawisko niewłaściwego, nie odpowiadającego faktycznej strukturze ustrojowej czy geograficznej państw członkowskich obsadzenia stanowisk w administracji ONZ. Dotąd jeszcze wiele słusznych uchwał Zgromadzenia bądź postanowień Rady Bezpieczeństwa zawisa w próżni, ponieważ ONZ nie może opracować skutecznych środków wprowadzania ich w życie, zmuszania adresatów rezolucji do respektowania ich postanowień.

Nie jest to pełny rejestr słabości ONZ. Znałe je i nie ukrywając ich Polska zdaje sobie sprawę, że ONZ nie jest i nie może być instytucją doskonałą. Składa się ona z państw o odrębnych ustrojach i interesach, odzwierciedlając realnie istniejący stan stosunków w świecie. Ale Polska wraz z innymi krajami socjalistycznymi uważa, że ONZ może i powinna spełnić ważną rolę w utrwaleniu pokoju i nowych zasad współżycia międzynarodowego.

W dzisiejszym świecie, pełnym sprzeczności i konfliktów, w świecie szukającym dróg rozplątania gordyjskich węzłów, wyjścia poza granice ciasnych, egoistycznych interesów niektórych państw, przewyciężenia społecznych chorób naszego wieku, chorób związanych ze starymi ustrojami wycisku — taka organizacja jak ONZ ma ogromne zadanie do spełnienia.

CHINY

Dobrali się do fortepianu...

STATIO gazety pekińskie — jak informują „Nowe Czasy” — na pierwszych stronach pod olbrzymimi tytułami stawia „nowe zwycięstwo” „rewolucji kulturalnej” Mao. Tym razem chodzi o muzykę. Gazeta „Kuangmingzippao” obwieszcza, że w Chinach rozpoczęła się nowa era muzyki fortepianowej. „Muzyka fortepianowa przeżywa swe odrodzenie pod przewodem idei Mao Tse-tung’a”, podczas gdy na całym świecie ten rodzaj sztuki „z każdym dniem ulega degradacji”. Agencja sinhua dodaje, że pod „promieniami idei Mao Tse-tung’a odrodzi się nowa droga dla europejskich instrumentów muzycznych”. A gazeta „Zenninzipao” pisze o „spełnieniu nowego zjawiska od pieśnią fortepianowej” i poetycznie nazywa je „jasnym wonnym kwiatkiem wyhodowanym osobicie przez Czang Czing” — małżonkę Mao.

Sądząc z doniesień prasy pekińskiej, małżonka Mao budowała ten światek przez długi czas. Zaczęła od pieśnią urzędową czystkę wśród muzyków i śpiewaków stołecznej opery. Część z nich, o ile wiadomo, zwoimono, Nie-

którzy popełnili samobójstwo. Niebezpiecznym szczęściwcom udało się uciec z Chin, pozostałych zaś na rozkaz Czang Czing wcielono do armii w charakterze „rewolucyjnych bojowników frontu sztuki” i zmuszono do komponowania pieśni na cześć „wielkiego sternika”.

Jakkolwiek hunwejni potamali i spalili niemal wszystkie „burżuazyjne instrumenty reakcyjne” — fortepiany, skrzypce, klarnety, fluty — kilka fortepianów ocalało. Czang Czing, jak donosi „Zenninzipao”, miłośnikiewie przewoziła nie zważając na pastwę ognia, ale surowo ostrzegła, że „nie wolno ślepo wierzyć cudzoziemczyźnie”, lecz w tym wypadku trzeba „cudzoziemczyźnie oddać w służbę Chinom”. Czang Czing rozkazała skomponować nowe arte operowe w duchu „rewolucji kulturalnej” i w obecności swego małżonka wykonać je w dniu 1 lipca przy akompaniowaniu fortepianu. Mao był zadowolony. W ten sposób dokonano pekińskiej rewolucji w muzyce...

Podobnych rewolucji w Pekinie było już aż nadto. Rewolucja w sporcie: przy pomocy cytatów Mao usono sportowców odnoszących zwycięstwa w ping-pongu.

Rewolucja w handlu: przy pomocy wypowiedzi Mao usono sprzedawców prowadzić ożywiony handel arbużami.

Rewolucja w medycynie: przy pomocy wciąż tych samych cytatów zalecano chorym wyżywanie się niedomagami i cierpiem.

Rewolucja w malarstwie: zobowiązywano malarzy, by malowali wyłącznie portrety Mao.

Obecnie na porządku dziennym jest fortepian. Co dalej?

Do 10 września poczta i „Ruch” przyjmują prenumeratę „Kamery” na IV kwartał

Przed V Zjazdem PZPR

DZISIAJ sprawy, zwłaszcza dla młodego pokolenia, są proste i oczywiste: analfabetyzm jako zjawisko społeczne nie istnieje, dla odmiany zaś każdy, kto wykazuje trochę silnej woli i konsekwencji, może ukończyć nie tylko szkołę średnią, ale i wyższą. Tysiącami można przytaczać nazwiska ludzi, którzy startowali jako robotnicy czy chłopcy na piaskzystej odciożwiźnie — a dzisiaj są inżynierami, lekarzami, pracownikami naukowymi...

Niestety, nie zawsze tak było w naszym kraju. Wertuję dokładniej ostatni przedwojenny rocznik statystyczny z 1939 r., potem podobny rocznik z 1967 r., porównuję — i co chwile natykam się na jakieś zaskakujące sprawy.

Oto w przedwojennych szkołach początkowych — dzisiejszych podstawowych — uczyło się na Lubelszczyźnie 353 tys. dzieci. Niemal tyle, co dzisiaj — jeżeli uwzględnimy różnicę w liczbie ludności: obecnie ok. 200 tys. mniej niż przed wojną. Więc nie było tak źle — mógłby powiedzieć ktoś bezkrytycznie. Pozornie tak. Ale trzeba uwzględnić dwa fakty. O pierwszym z nich milczą statystyki, chociaż potwierdzenie można znaleźć albo we wspomnieniach starszych, albo w niektórych publikacjach literackich tego okresu. Na wsi było powszechne zjawisko chodzenia dzieci do szkoły, przeważnie czteroklasowej, tylko w okresie zimowym. Wtedy, gdy nie było robót polnych. Na wiosnę — aż do późnej jesieni — albo trzeba było pomagać rodzicom, albo wynajmować się do pracy u obcych, by zarobić 50 czy 60 groszy dziennie. Za te grosze można było wtedy kupić 2 kg chleba lub 10 pudełek zapalek — a to liczyło się w budżecie robotniczej czy chłopskiej rodziny. Resztki drewnianego faktury są widoczne do dzisiaj — małe, ciemne, najczęściej drgniane budyneczki, pełniące rolę szkół, często przez ścianę sąsiadujące z chlewnem czy oborą.

Te właśnie fakty tłumaczą pozorną sprzeczność liczby uczniów w szkołach początkowych z tabelicą na str. 28. Aż się wierzyc nie chce, że to było możliwe, a przecież nawet sanacyjny rząd musiał się przyznać w oficjalnym dokumencie do sytuacji, która we wszystkich krajach była i jest uważana za klęskę narodową. Oto w rubryce „województwa wschodnie” — a do nich należało lubelskie — może każdy przeczytać: 41 proc. ludności w wieku powyżej 10 lat to analfabeci. Na wsi zaś 30 proc. mężczyzn i 60 proc. kobiet!

Uparcie wertuję stare i najnowsze statystyki. Oto szkoły średnie ogólnokształcące. Przed wojną uczyło się w nich na Lubelszczyźnie 11 800 uczniów, obecnie — 20 325. Różnica niemal dwukrotna. A przecież ten rodzaj szkół należy już raczej do przestarzałych, zrozumiałym bowiem, że najlepszą drogą kształcenia fachowców są szkoły zawodowe, w których, oczywiście, nie zaniedbujemy przedmiotów ogólnokształcących. I dopiero tutaj widać, jak wielkiego skoku dokonaliśmy, jak wielkie szanse daliśmy naszej młodzieży. Oto w ostatnim przed wojną roku mieliśmy na Lubelszczyźnie — a pamiętajmy: ludności było 200 tys. więcej — 62 szkoły zawodowe wszelkiego typu, a w nich 7 600 uczniów. Nawet nie dociekam, co znaczy uwaga „łącznie z kursami”, których w powojennych danych nie uwzględniam. Sami dobrze wiemy, jak wielką liczbę tych kursów teraz urządzamy. Otóż w minionym roku szkolnym mieliśmy ni mniej ni więcej tylko 531 szkół zawodowych, a w nich 71 869 uczniów! I jakże bogaty wachlarz tych szkół, z których ponad sto znajduje się w małych miasteczkach i wsiach.

Kilka słów o wyższych uczelniach. Mieliśmy ich w Polsce przedwojennej nawet dosyć dużo — 28. Ale były to uczelnie małe, nie mówiąc o skromnym bardzo, niekiedy niedostatecznym, wyposażeniu. I nie na wszystkie łożyło państwo, bo np. Wolna Wszechnica, czy Wyższa Szkoła Dziennikarska były uczelniami prywatnymi. A w tych 28 uczelniach było tylko 48 tysięcy studentów.

Dziś wyższych szkół mamy 78 — a wciąż powstają nowe, jak np. ostatnio Uniwersytet Śląski. Uczy się w nich przeszło 5 razy więcej studentów — 275 tysięcy.

Szczególny awans spotkał Lublin. To tutaj właśnie powstawał — rzecz bez precedensu w historii świata — uniwersytet nie tylko w czasie trwającej jeszcze wojny, ale na bezpośrednim zapleczu frontu, 45 km od pierwszej linii. Przed wojną był tylko jeden KUL z 1 400 studentami. Dziś ma on ich ponad 1 600, ale są jeszcze cztery dalsze uczelnie — UMCS, AM, WSR i WSI. Razem na wszystkich uczelniach — ponad 15 500 studentów. Dokładnie jedenaście razy więcej.

Przypomnijmy sobie jeszcze kilka spraw. Młodzi nie chcą wierzyc, że przed wojną w szkołach średnich i wyższych płaciło się czesne. Było ono stosunkowo wysokie — najczęściej 220 zł rocznie. Oczywiście, inna była siła nabywcza złotych.

Zwolnienia lub zniżki wprawdzie były, ale mogło je otrzymać najwyżej 5 proc. uczących się. A na wyższej uczelni płaciło się osobno za każdy egzamin. Być może pobudzało to niektórych studentów do wyteżonej nauki, ale czesne i opłaty egzaminacyjne tworzyły wystarczająco wysoką barierę finansową, aby nie dopuścić do dyplomu dzieci robotników i chłopów. Jakże łatwo o tych gorzkich latach dzisiaj zapominać...

Mieszkałem przed wojną w domu akademickim przy pl. Narutowicza w Warszawie. Ten olbrzymi i bardzo nowoczesny na owe czasy budynek zamieszkiwało ok. 1 800 studentów. Zarząd sprawowała Fundacja Domów Akademickich, podlegała Ministerstwu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Ale to było oszustwo. Dom bowiem został wybudowany wyłącznie ze składek społeczeństwa, do którego odwołali się studenci, sami składając dostojnie groszowe datki. Rząd nie dał ani grosza, ale pewnego dnia siłą zastąpił samorząd studencki mianowaną przez siebie administracją. I pisano nadal „Fundacja” — nie wyjaśniając nigdy, że fundatorem było społeczeństwo, a nie władze.

W tymże domu od strony ul. Mochnackiego utworzono coś, co znowu było dla władz prospektem reklamowym: mieszkający tam studenci nie płacili za mieszkanie, otrzymywali bezpłatne bony do stółki, a nawet 15 zł miesięcznie w gotówce na drobne wydatki. To prawda, tylko: 1) takich studentów na całą Polskę było pięćdziesiąciu, 2) koszty pokrywał nie rząd, ale samorządy powiatowe. Do dzisiaj nad tymi pokojami widnieją tablice informujące, jaki powiat ufundował ten czy następny pokój. I dodajmy, że kwalifikowano do tych ulg nie dlatego, aby pomagać młodzieży robotniczo-chłopskiej, ale by dawać premię tym, którzy sami lub których rodzice wykazywali się lojalnością wobec władz sanacyjnych.

A w zakończonym niedawno roku akademickim z jednego tylko UMCS mieszkało w domach akademickich 1 626 studentów — niemal tyle, co przed wojną w całej Warszawie. Tymże lubelskim studentom wypłacono w formie stypendiów ponad 11 mln zł — nie licząc 123 stypendiów fundowanych po 500—700 zł miesięcznie. Każdy z 1 859 stypendystów państwowych na UMCS dostał w ciągu roku — w gotówce lub świadczeniach rzeczowych — 5 937 zł. A dalej, nie chcąc się powtarzać, przypomnę tylko z mojego majowego artykułu, że na budowę lubelskiego ośrodka naukowego państwo wydało dotychczas ponad miliard złotych, drugi zaś miliard na pokrycie bieżących wydatków. Po puławskim kombinacie azotowym, FSC i świdnickiej WSK jest to więc czwarta z kolei największa inwestycja w naszym województwie.

Wróćmy jeszcze na chwilę do szkół podstawowych. O tym, jak wielką wagę do oświaty przykładały władze Polskiej Ludowej od samego początku, niech świadczy fakt, że mimo olbrzymich zniszczeń, w ciągu 4 miesięcy po zakończeniu wojny uruchomiono w województwie 80 proc. tych szkół. Równocześnie z budżetu państwa zaczęto budować nowe budynki szkolne. W latach 1950—60 wydano na ten cel prawie 514 mln zł. Potem co roku 100, nieraz 200 mln zł. W 1959 r. na wniosek Frontu Jedności Narodu powołano do życia Spółeczny Fundusz Budowy Szkół. W ciągu 6 lat jego istnienia mieszkańcy Lubelszczyzny łożyli 413 mln zł, za co wybudowano 106 szkół-pomników Tysiąclecia, a 35 mln przekazano na Fundusz Budowy Szkół i Internatów. Zbiórka trwa nadal — bo społeczeństwo, widząc wyniki i doceniając wysiłki państwa, chętnie współuczestniczy w olbrzymim postępie, jakiego dokonaliśmy w dziedzinie oświaty. Trwałym tego świadectwem w naszym województwie jest już ponad 750 nowych szkół oraz trzy dzielnice wyższych uczelni w Lublinie.

Jerzy Dostatni

Coraz częściej spotyka się w prasie polskiej narzekania na tzw. młodych pisarzy. Oskarża się ich o wiele grzechów głównych: przedwczesne zawodowstwo, niechęć do nauki, oderwanie się od życia swoich środowisk, stwarzanie zamkniętych grup pseudoliterackich i o sto innych, równie nagannych poczynań. Mówi się o jałowości i bylejakości ich książek, pisze się na temat wygórowanych ambicji i żądań materialnych; określenie „autor paru wierszy” wymienia się jednym tchem z „ręką wyciągniętą po stypendia”. Daleki jestem od lekceważenia tych głosów; skoro ludzie tyle mówią i piszą na ten temat, coś tu musi być z prawdy. Przyjrzyjmy się więc owemu „korowodowi” mało dojrzałej cyganerii nieco bliżej, z pozycji możliwie krytycznych i obiektywnych.

PIERWSZE, co się rzuca w oczy, to niemal powszechna niezyciliwość w stosunku do „młodych pisarzy”. Napisałem „powszechna”, mając na myśli wielość osób, za jakimi się owa niezyciliwość kryje. Nikt nie lubi, gdy obok niego wyrasta coś drażniącego, niepokojącego „nienormalnego”. Naturalną reakcją jest wówczas chęć zniszczenia, ośmieszenia, „unormalnienia”.

Dlatego prowincjonalna dziennikarka z wielką satysfakcją i z najbardziej złośliwym komentarzem opublikuje w miejscowej gazecie fragmenty niepoehlebnej recenzji z debiutanckiej książki znanego jej młodego pisarza, przemilczając jednocześnie inne, dobre recenzje tej samej książki. Z tych samych powodów urzędnik, od którego podpisu zależy powodzenie inicjatywy

noś, że jego życiowym zadaniem jest zostać wybitnym pisarzem, osiągnąć sławę i wszystkie przynależne jej atrybuty. Na szczęście, takich „młodych pisarzy” jest niewiele, ale czynią wokół siebie tyle nieuzasadnionego halasu, że co bardziej krewcy publicyści piszą o „przedwczesnej profesjonalizacji”, fałszując — i tak dość złożony — obraz wstępującego środowiska literackiego kraju.

Albowiem nie jest prawdą, że większość (lub też znaczna liczba) młodych adeptów pióra po kilkakrotnym ujrzeniu swego nazwiska w druku rzuca zawód, naukę, izoluje się od swego dotychczasowego środowiska i wchodzi w kręgi cyganerii pseudoliterackiej, gdzie „talent karleje”, a wybujałe chorobliwie ambicje przesłaniają rzeczywisty obraz świata i życia. Wypadki takie należą do odosobnionych i jedynie przez swą krańcowość i

wia przed sobą pełu wychowania swoich członków na „pisarzy”. Owszem, organizuje dla piszącego aktywu seminarium szkoleniowe, udziela pomocy w nawiązywaniu kontaktów z wydawnictwami, ułatwia recenzowanie maszynopisów, prowadzi prace instruktażowo-wychowawczą. Ale oprócz tego ośrodki KKMP przyjmują patronaty nad klubami wiejskimi, zajmują się organizacją różnorodnych akcji kulturalno-oświatowych, propagują czytelnictwo literatury pięknej, wygłaszają społecznie prelekcje, w interesujące ludzi tematy kulturalne.

Z Klubu wyszło nie tylko kilkunastu znanych dziś i cenionych pisarzy młodego pokolenia, lecz także nierównie więcej działaczy kulturalnych, znawców współczesnej literatury, gorących jej propagatorów i zwolenników. Nie jest to sukces do pogardzenia w sytuacji, gdy umiłowanie literatury krzewi

OŚMIUSET UPARTYCH

Tadeusz Piekło



Fot. Anatol Wezzer

młodego środowiska literackiego, będzie z uporem zwlekał z decyzją, wyszukując coraz to inne przeszkody polityczne, formalne, koniunkturalne — w cichej nadziei, że młodym zapał minie, że się uspokoją, że im w końcu przejdzie. „Prawo zwłoki” Parkinsona powinno być obowiązującą lekturą urzędników, szczególnie tych od kultury na szczeblu powiatu!

Od takich działań (nie wymieniam wszystkich sposobów, zapytajcie młodych!) krok tylko do kwosów środowiskowych, do przeciwstawiania interesów grup twórczych, do pomówień i insynuacji, co z kolei rodzi rozgorzcenia i uprzedzenia, prowadzi do pochopnych osądów i cenzurek. Doszło już do tego, że określenie „młody pisarz”, „młody poeta” — jest czymś pejoratywnym, odbieranym z uśmiechem lekceważenia, leciutkiej pogardy i nieufności.

Skąd się bierze ten kryzys? Sądzę, że z łatwości, nadmiernej łatwości debiutu w ostatnich czasach. Bardzo często — i to nie tylko na łamach prasy prowincjonalnej — spotyka się debiutanckie opowiadania i wiersze o żenująco niskim poziomie artystycznym i intelektualnym. Wielokrotnie w tych na siłę plodzonych utworach odnalazłem można nie tylko złą polszczyznę, ale i błędy gramatyczne, w sposób oczywisty dostrzegalne dla każdego jako tako wyrobionego czytelnika. Jeśli do tego dodać powszechną u nas skłonność do pochopnych uogólnień, nie sposób się dziwić temu, że młodzi pisarze — autorzy dwóch czy trzech książek — za wszelką cenę starają się o legitymację ZLP, sądząc, że ona (lepiej) niż napisane książki potwierdzi talent i uprawdopodobni powołanie literackie w oczach społeczeństwa.

Trzeba powiedzieć otwarcie: wielu ludzi młodych, piszących obecnie wiersze i opowiadania, nie będzie pisarzami nawet miernej miary. Chęć zabywania, zaimponowania otoczeniu, wyróżnienia się z szarej przeciętności, rodzi ambicje pisarskie często bezzasadne, przy ogólnym niedokształceniu z góry skazane na niepowodzenie. Zresztą nie bądamy zbyt pewni, że wykształcenie i talent tworzą od razu pisarza; pisarstwo wymaga jeszcze — a może przede wszystkim — ciężkiej i systematycznej pracy, na którą nie każdy uzdolniony i wykształcony młody człowiek chętnie się godzi i skazuje. Ambicje bez pokrycia, pobudzone faktem wydrukowania kilku utworów, czy nawet oddzielnej książki, mogą (ale nie muszą!) zrodzić w autorze pew-

egzotykę są łatwiej dostrzegalne niż zwyczajna praca nad sobą, powolne i cierpliwe rozwijanie talentu, daru obserwacji i nieefektywne wysiłki nad doskonaleniem tzw. warsztatu.

Na obraz młodej literatury w kraju składają się kola młodych przy oddziałach Związku Literatów, Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZG ZMW, kilka innych jeszcze stowarzyszeń i kół literackich oraz młodzi (nie zawsze wiekiem — o ileż częściej doświadczeniem i dokonaniem!) ludzie, rozrzucony po całej Polsce, nie ujęci w formy organizacyjnego dokształcania, poza środowiskowymi koteriami, w pojedynkę borykający się z trudami literackich początków.

Kimże jest tzw. młody pisarz — członek KKMP? Cyganem z kawiarni literackiej? Osobnikiem wiecznie poszukującym mecenatu, druku, uznania i mieszkania w Warszawie? Autorem prac, których „problematyka jest ograniczona, tanituka” i których „szarżyna i ideaowa blahość mają swe źródła w niedocuczeniu”? Niby-profesjonalista, windującym się przedwcześnie na zastrzeżony dla „pisarzy całą gębą” piedestał?

Nawet pobieżna znajomość nazwisk członków KKMP pozwala odpowiedzieć na powyższe z całą pewnością: nie, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Wśród członków Klubu, nad którym patronat od dziesięciu lat sprawuje ZG ZMW, przylatującą większość stanowią ludzie pracy, przedstawiciele najróżniejszych zawodów. Są tu lekarze, archeolodzy, inżynierowie, nauczyciele, technicy, urzędnicy, robotnicy rolni, dziennikarze — słowem ludzie, którzy źródła utrzymania i szacunek społeczny uzyskują dzięki pracy zawodowej. Pozostali to studenci młodzi.

Członkowie Klubu to najczęściej równocześnie działacze społeczni z prawdziwego zdarzenia; inicjatorzy i organizatorzy przedsięwzięć kulturalnych, ludzie niespokojni, wyżywający się w aktywizowaniu i integrowaniu kulturalnym środowisk wiejskich i małomiasteczkowych. Poza tym są to ludzie, którzy piszą i wydają książki (jest ich, tych książek, coraz więcej) głęboko osadzone w realiach socjalistycznego kraju, ludzie, którzy ten kraj znają, kochają i rozumieją w większym stopniu, niż satelici warszawskich wydawnictw i kawiarni na Krakowskim Przedmieściu.

Nie miejsce tutaj, by szerzej rozwozić się nad całokształtem działalności KKMP. Wspomnę więc jedynie, że Klub bynajmniej nie sta-

głównie kadra bibliotek, część polonistów szkolnych i — w niedostatecznym jeszcze, jak sądzę, stopniu — telewizja.

KKMP zrzesza w kilkunastu ośrodkach około ośmiuset członków, zamieszkujących w małych miasteczkach i wsiach. Ludzie ci z różnym powodzeniem usiłują uprawiać literaturę. I jeśli by można wiele zarzucić artystycznej stronie ich utworów — nie da się postawić zarzutu braku zaangażowania w życie kraju, w aktualne sprawy społeczno-polityczne. Członkowie Klubu swoją pracą i aktywnością społeczną dają najlepszy dowód postawy patriotycznej, niejednokrotnie w swoich wystąpieniach i książkach wyrażają przekonanie o jedynie słusznej drodze budownictwa socjalizmu w naszym kraju, o nieodwracalności zaszłych w nim przemian. Nie ułatwiają sobie życia, nie próbują różnych wytrychów do drzwi Wielkiej Literatury.

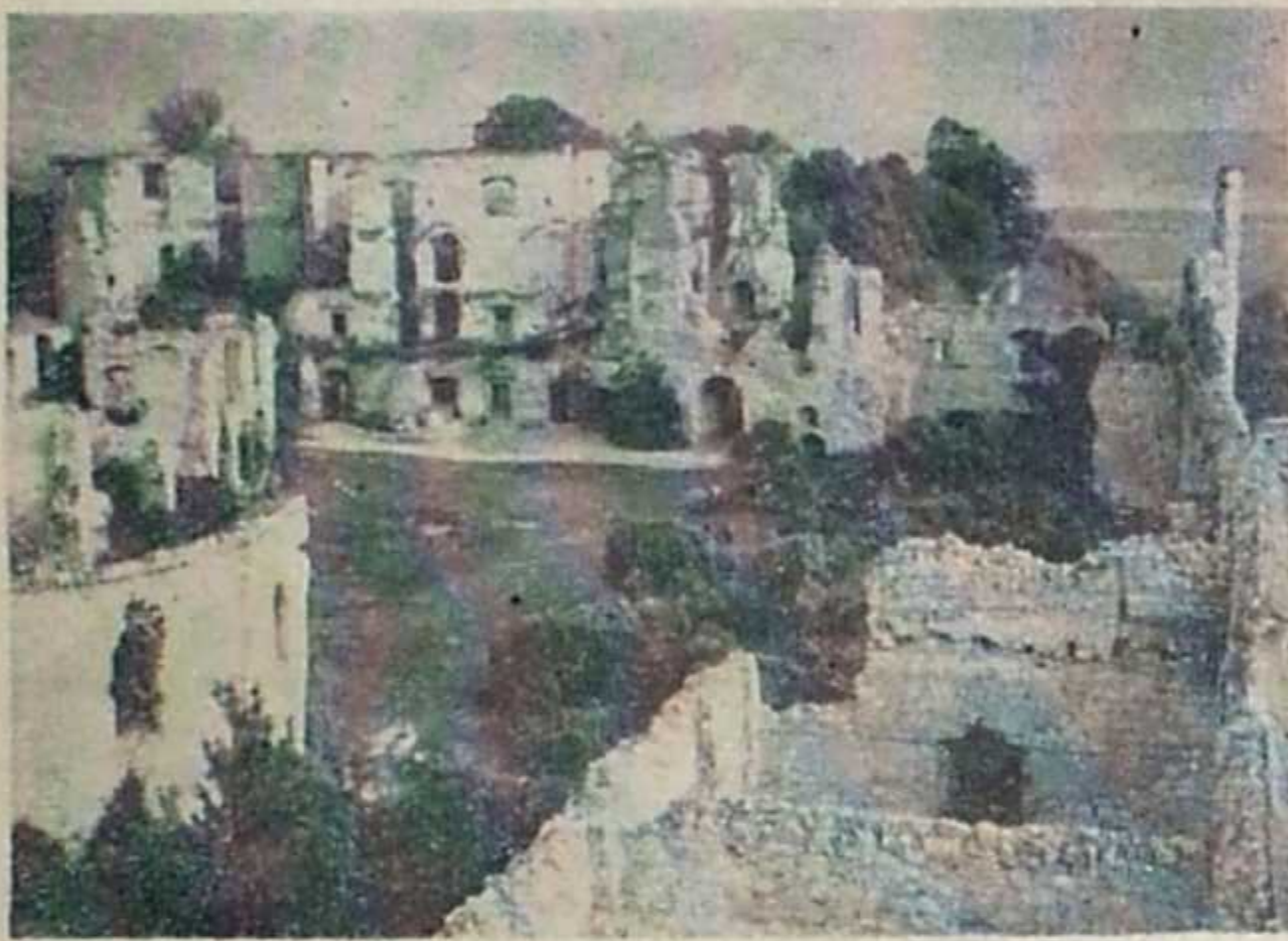
Wiem, że wiele spraw pominałem w niniejszym artykule — nie ma on jednak ambicji wyczerpania całości zagadnienia. Chciałem jedynie w możliwie skróty sposób przedstawić działalność KKMP — a raczej ten owy działalność wycinek, który pozwala na wyłączenie Klubu z szeregu innych, atakowanych środowisk „młodych pisarzy”, na oddalenie zarzutów i rozdzielenie nazbyt już pomieszanych pojęć w tej materii. Sądzę, że również inni przedstawiciele Klubu zechcą się wypowiedzieć i zająć stanowisko wobec — moim zdaniem — wyolbrzymionego w sposób sztuczny problemu „przedwczesnego zawodowstwa” młodych pisarzy. Zagadnienia, z którego próbuje się czynić „niezmiernie poważny problem”... „rzutujący na całość sytuacji środowiska literackiego w kraju, a zwłaszcza w Warszawie”. My, prowincjusze, słyszeliśmy niejako o warszawskiej atmosferze, ale nadal jesteśmy przekonani, że za owe zapaski odpowiadają głównie ich twórcy.

I do nich trzeba mieć o to przede wszystkim pretensje.

P. S. Artykuł niniejszy napisany został m. in. pod wpływem lektury wystąpienia Kazimierza Koźmiewskiego w „Sł. n-rze „Polityki” z 15 czerwca br., choć — jak łatwo zauważyć — bynajmniej nie stanowi polemiki ze wszystkimi jego tezami. A raczej nie tylko z tezami „Przedwczesnego zawodowstwa” Kazimierza Koźmiewskiego.



Brama wjazdowa na dziedziniec Zamku



Ruiny Zamku

Fot. Janusz Urban

Jerzy Zenon Kukuryk

Złamanie faktury

słońce złamane ucieka i czerń lasu
krzywi cieniem płaszczyznę pół
sygnaturką wiejską
pod obłok dziewcząt majowy chór
cisza
płaszczyznę bezbarwną widzenia
spają spojrzeń wygastłych faktury
spopielale oczodoły matek
błysk nadziei
czas niespełnienia
linie skłębione skręcić w potok
niesłyszanych słów
ludzie z kamiennych katedr mówią: godzina upadku
nim głosy chóru dobiegną do lasu
słońce zagaśnie i krąg spojrzeń
dotęgnie ziemi stopy
wetną je w noc
cisza
słowem cudownym tchnąć życie
mniszki wzrok skonały niespełnień
macierzyństwo prostytutki
kobiet starych spojrzenie
nagość
roztoczyć kolorem
złamać faktury

Odkupienie

Drogę którą trzeba opisać cierniami noc
oznacza i krzywi wiatr
i gniewy i szyderstwa plamami krwawą
oczy gdy trzeba iść do Spelnienia — krok
jest kamieniem
dymem
ocem
od miasta i ogrodów napływa zachodem serca
świadomość trzeba przestać odczuwać
niżli z serca ktoś ciężar podzielił
i bliznami porać ciało i złamać krapłość
zaślepień
by zamiast noża w rękę zakwitł kwiat
i
miłość.

Lublin

WITAMINY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

trudności. Reportaż powinna wesprzeć intuicja artystyczna. Inaczej, jak pisze K. T. Toepflitz, można wyhodować rzodkiewkę wielkości melona, nie będzie to jednak nigdy prawdziwy melon.

To hodowanie monstrualnych rzodkiewki faktologicznych przeważało w epoce zaraz po pierwszej wojnie, kiedy w niejasnym przecuciu, że brak tu jakiegokolwiek komponentu artystycznej, zaczęto holdować faktomontażowi. Jednak o faktomontażu życie pierwszej wojny można by powiedzieć słowami Carlyle'a o Coleridge'u: buduje on rusztowanie, montuje na nim dźwigi, jakie może znaleźć w okolicy i... kładzie trzy cepy.

Była to epoka kubizmu. Reporter z ambicjami powiedział sobie, że i on jest nie od macochy: artyzm w reportażu osiągnie przez proporcjonalne ustawienie brył. Od tego czasu poszliśmy dalej, ale ten słuszny kanon pozostał i obowiązuje: Artyzm reportażu polega przede wszystkim na doskonałości kompozycji — pisze do mnie Marian Brandys.

W krytyce zarejestrowano tę jedyną koncesję dla reportażu, ochrzczono ją faktomontażem (jak jest nazwa to już kłopot z głowy).

Profesor Stefania Skwarczyńska w studium o literaturze stosowanej, pisząc o reportażu stwierdza, że celowość z punktu widzenia praktyczności w konstrukcji utworu jest żywiołem estetycznym. A więc, wymagając tylko tyle, przyjęto reportaż na warunkach ulgowych i wydzielono kącik w przedsiönku literatury, gdzie wolno reporterom przebywać pod ciągłym strachem eksmisji przez wydział kwaterunkowy Zw. Lit. Polskich.

O tę szczyptę soli

Reporter rusza na wyprawę w głąb jakiegoś zagadnienia i zdaje się z nim to, co z eksploratorami Arktyki.

Przygotowali wyprawę niezwykle starannie. Są świetnie zaopatrzeni i zaoprowidowani. Dietetyści dobrali im produkty żywnościowe, bacząc, aby w nich była przewidziana ilość węglowodanów, proteiny, fosforu, białka, tłuszczów roślinnych, tłuszczów zwierzęcych. A tymczasem — żeby im się ruszały. Szkorbut... Zabrakło nieuchwytnego, a niezbędnego „extra” — witamin.

Reporter zapewnił sobie środki lokomocji, zabrał aparat fotograficzny, z wymiennymi obiektywami, magnetofon, wgrzył się w mapy, nacytał się na temat, z którym się zetknie, ma oną poszukiwaną przez wydawców dociekliwość, macha gładko piórem, opanował język obcy potrzebny dla danego reportażu.

Książka stała się bestsellerem. Ale minie dziesięć lat i nikt do niej nie zajrzy. Nie nastąpił jej wzrost z czytelnikiem.

Czego tu zabrakło? Właśnie tego, co reportażowi zarzucają ci, którzy go trzymają w przedsiönku literatury. Przekazywanie wizji bez talentu jest rzeczą niemożliwą — stwierdzał Max Bellot. Zabrakło komponenty artystycznej, zabrakło talentu, zabrakło osobistego zaangażowania się.

Mamy na to autentycznego świadka, bo doskonałego reportera, Krzysztofa Kałolewskiego, który w rozprawce o estetyce reportażu jako gatunku informacji stwierdza: Wartość estetyczna w literaturze jest niejako funkcją wartości informacyjnej.

Aby oddać czytelnikowi całą złożoność zagadnienia, nie wystarczy to zagadnienie zobaczyć i przekazać centrum mózgowemu czytelnika. Nieraz reporterzy piszą: Małachowski: Moja relacja jest sucha. Każda z okoliczności miała przebieg bardziej dramatyczny. Należy uchwycić zapach, melodię i przekazać zmysłom ludzkim, przekazać odczuciom artystycznym i zatajonej podświadomości. Wielki reporter jest artystą. Szeroka klawiatura środków, którymi się posługuje, wymaga surowej dyscypliny. Wówczas dyskusje, czy jest literatem stają się anachronizmem.

To pytanie — kim jestem? — przechodzi każdy chyba wielki reporter. Babel, którego mam właśnie za wielkiego reportera, w początkach swej twórczości doszedł do przekonania, że pisze rzeczy nudne, nieciekawe, bez dynamiki.

Wtedy znowu — któryż to już raz — postanowiłem iść między ludzi: przejechałem też wiele tysięcy kilometrów, by zobaczyć mnóstwo zdarzeń i osób.

Myślałem wtedy tak: dzieją się sprawy światowej wagi, rodzą się ludzie, jakich oko nie widziało,

tworzy się u nas rzeczy niesłychane, chyba więc tylko nagie fakty mogą wstrząsnąć ludźmi w naszych czasach.

I oto postanowiłem się spisać te nagie fakty; skończyłem pisanie, odłożyłem na jakiś czas, przeczytałem na nowo i okazało się, że to nie interesującego (śmiech).

Sprawa stawała się poważna. Czas już było rzecz przepatrzyć i podjąć decyzję. I oto zrozumiałem, że w tych pierwszych moich dążeniach była chęć zastąpienia mojej własnej istoty przez jakiś szczególny obiektywizm, chwyt techniczny czy sposób formalny. Mój drugi nieświadomy plan sprowadzał się do tego, że za mnie mówić ma dziecko rzeczywistość, że wydarzenia naszych czasów tak są niezwykłe, że nie muszą wcale specjalnie się trudzić, bo one same mówią za siebie. Wystarczy tylko porządnie je przedstawić, a już to będzie ważne, wstrząsające i ciekawe dla wszystkich wokół. No i proszę — nic z tego nie wyszło.

A ileż mu razy jeszcze raz po raz „nie wyszło”? Przynajmniej — w jego mniemaniu.

Czy jeden Babel tak się miotał? Jako wynik tych jednostkowych rozważań, tych zbiorowych rozpraw, powstał w 1949 r. „The Reporter” (ciekawe, że w Polsce nie ma miesięcznika poświęconego reportażowi, nie ma miejsca na większe reportaż). Założył go Max Ascoli jako eksperyment w dojrzałym dziennikarstwie. Po 10 latach doświadczeń, w jubileuszowym wydaniu, Ascoli stwierdza, że nawala faktów jest jednym z ważniejszych powodów publicznego zubożenia. Dlatego Ascoli stara się, aby w jego piśmie była równowaga pomiędzy dopływem faktów i idei. Fakty muszą być sprawdzane przez krzyżujące się informacje, a idee poddawane próbom.

A więc „nawala faktów” — powtórzyło się zjawisko, o którym już pisałem, że miało miejsce po pierwszej wojnie.

Rzucono się na autokratycznych kacyków sędziów miast, (np. Hue Long w Louisianie, Frank Hague w Jersey City itd.), na wielkich szwindlarzy. Stuart Chase napisał książkę z szeregiem reportaży na temat marnotrawstwa kapitalistycznego. Arthur Raper o dzierżawcach; Hortense Powdermaker na tematkię rasową (After Freedom); Levis Mumford na tematkię urbanizacyjną (Culture of Cities); Benjamin Stolberg dał kilka książek ilustrujących warunki pracy itd.

Był to prąd, odpowiadający, w innych konwencjach, potrzebom, którym sprostać się starał surrealizm u nas.

Ale faktologia międzywojenna już nie wystarczała. Reportaż sięga po nowy element — artyzm.

Hemingway odkrywa braterstwo z Hiszpanami, Pearl Buck z Chińczykami, przechodzi Caldwell, Steinbeck i legion młodszych cytowanych po kartach tej książki.

Hillier Kriegbaum, profesor wydziału dziennikarskiego uniwersytetu nowojorskiego, rozpatrując plon reportaży lat najnowszych, konkluduje: Już teraz nie wystarczy podawać fakty wiarygodne. Teraz wymaga się prawdy o faktach.

Jakże by się zdumiał poezjiwy Burton, pracowicie opisujący kamizelkę Brigham Younga, że podawał fakty wiarygodne, ale nie prawdę o nich!

Ten sam proces — wysublimowania reportażu, odbywał się i w Europie.

Powieść Der Mädchenhirt (która właściwie jest niczym innym jak beletryzowanym reportażem z dżugietnego obcowania dziennikarza Kische ze światem przestępczym Pragi), ukazuje się w maju 1914 r. i jej powodzenie przechodzi wszelkie marzenia Kische. W ciągu dwu tygodni rozleciał się pięciotysięczny nakład i wydawca zarządził druk dalszych piętnastu tysięcy. Tłumaczenia pochwyliły Londyn, Paryż, Petersburg i za nimi inne kraje. Poczęto doszukiwać się pionierstwa nowej formy literackiej, opartej na dokumentacji. Pusty śmiech mnie ogarnął — pisze Kisch — pierwszy lepszy z moich reportaży zawierał więcej dokumentacji, góry dokumentacji, która byłaby jeszcze większa, gdyby nie krótkie formy reportażu i pośpiech.

Kiedy teraz wchodzi do kawiarni literackiej, wita go nabożny szept. Ale Kisch nie da zamylić swego powołania.

Ale holdy te nie sprowadzają na manowce Kische-reportera. Owszem, prawda: schwytał komponentę artystyczną. Pamięta dobrze, kiedy to się stało — omal z musu. Spóźnił się na pożar Szalkowskich młynów, Reporterzy z

innych pism już zdążyli zebrać sporą dokumentację; mieli zanotowane ile do tego czasu gdy przybył Kisch, przyjechało beczkowozów, co wywakuowano ita.

Kisch czuł, że już nie zdąży pozbiierać tych szczegółów i machnął opis nastroju tłumów, grona ognia, koloryt nieba.

I cóż się okazało? Jego opisy nie innych reporterów stał się sukcesem. Ci koledzy, dali dokumentację, on dał — pełną prawdę o faktach. Tak jak jeszcze pełniejszą prawdę o świecie otaczającym prostytutkę daje nagła Kischowska fantazja — jak ją zabrano do nieba i jakie tam jej urządzone przyjęcie. Ten bal niebiański, którym uczczono jej dobry uczynek, bal, gdzie znów płynie w ramionach ukochanego alfonsa, jest tak realistyczny, jakby się odbywał w spekulce Pragi. To nie jest bajda Malapartego, przy której czytaniu czytelnik mozioli się nad przeciągnięciem granicy między prawdą a wymysłem. U Kische prawda jest od wymysłu najwyraźniej oddzielona.

Bo też Kisch nie dał się uwieść laurami i zepchnął z reportażu. Nie zdradzę postanowienia, które powoziłem przy pożarze jabryki; nigdy nie dam się wyobrazić zepchnąć z toru faktów, po którym ścigam znikającą prawdę. W ten sposób zawiódłem krytyków rokujących mi sławę powieściopisarza, Gerarda Hauptmana, który telefonił, że wzniosę ponownie sztandar naturalizmu na nie osiągnięte dotąd wyżyny, cmokierają, którzy poczęli mnie otaczać i łowić autografów.

A w Polsce?

W Polsce, tak jak i w USA, już w ostatnich latach międzywojnia dojrzała świadomość, że „literatura” w miarę zażyta, zaostrza smak reportażu. Pruszyński w swojej książce W czerwonej Hiszpanii, w którą włożył dużo pracy dokumentacyjnej, mówi: Kończąc swoją pracę literackością. Nie statystyką, nie ekonomią. Bo oto sądzę, że trzeba ponad wszystko dać pewien ton brzmienia, koloryt Hiszpanii.

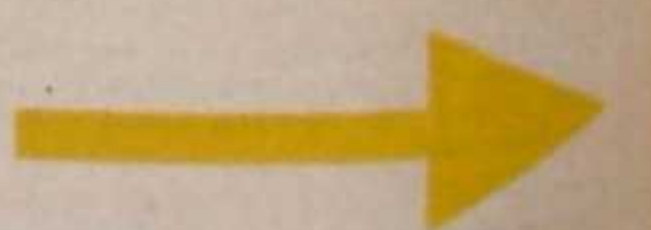
Pruszyński był majtrem w posługiwaniu się literaturą przy swoich reportażach:

Palilo się parę wotynnych świec i leżało chyba kilkadziesiąt kartek. Domyśliłem się, że w Bawarii jest widocznie zwyczaj podrzucania niejako tą drogą zakonnikom prób o modlitwy. Obrazki takie, zawsze w czarnej obwódce, zawierają zazwyczaj jakieś zdjecie zmarłego, jego nazwisko, datę śmierci, jakiś werwet i prośbę o modlitwę. Otóż setki takich czarnych obrazków leżały pod czarnymi kratami, które odzierały kościół od klasztoru w Wies i prawie wszystkie przedstawiały z jakimś natrętnym uporem młodych ludzi w mundurach z tamtej wojny. W tym pogodnym kościele była to naprawdę jakaś dolina Józefata, gdzie naraz tłoczyli się oni wszyscy, których prochy gnily gdzieś dawno na cmentarzach wojennych Verdun czy po polskich płaskach. Jakby cmentarz wojenny, ale stłoczony na jednym miejscu i przemawiający do nas nie tylko nazwiskami nieznanymi ludzi, ale twarzami przede wszystkim, własne twarzami, z których wyzierała tragiczna, zamarnowana, sponiewierana młodość. I Verdun nie dźwięczało mi już heroicznemu, a Oshmiańska w swej wadliwej pisowni nie szumiła swojsko, ani Vittorio Veneto nie dźwięczało włosko. Wszystko to cuchnęło wtedy tak samo cmentarnie.

W powojennej Polsce na razie obserwujemy to, co po pierwszej wojnie; nawrót do faktologii. Należało się pozbiierać z tyłu zaskakujących stających się rzeczami. Reportaż z pierwszego dziesięciolecia jest przytępiony maksymami, ale to nie przyczynia się do zwiększenia wizji.

Ale tak, jak i po pierwszej wojnie, Pruszyński i inni doszli do przekonania, że informacja nie wystarczy, tak i po tej np. Tadeusz Różewicz, omawiając książkę Zbiornia Stolarza Podróż do wielkiego patata pisze:

Kompozycja współczesnego reportażu wymaga od strony twórcy postępowania się elementami dramatu, epiki i liryki. Musi jednocześnie posiadać formę zdolną do dźwigania treści i przekazywania rzeczowej informacji.



Różewicz cytuje z tej książki:

„W zainstalowanej na trotuarach patelni prażą się w popiele kukurydziane kaczuszki. Miękkie, „zajęczek” skacze po murze za nędżnym ruchem brzoju, którą uliczny fryzjer ostrzy w parku, by zabrać się zaraz do namydionych już policzków klienta siedzącego na krześle tyłem do jezdnii. Drugi klient, obok, poddaje się z błogim uśmiechem atrakcyjnemu zabiegowi: małym pedzelkiem z kilku włosków zajęcza sierści fryzjer czyści mu uszy, a ucha i wprowadza gębko, chyba po sam bębenek, pachnący puder ryżowy. Pod różnokolorowymi drewniakami, rozwieszonymi na frontowej ścianie domu, szewc miarowo klepie młotkiem po podestwie. Z grubego bądyla trzciny cukrowej, którą jak przez wyżymaczkę wyciska sprzedawca między dwoma wózami swojej straganarskiej fabryczki napojów orzeźwiających, spływa do podstacowanej szklanki gęsty złotawy sok...

Daje za Różewiczem ustęp, który on widać, uznać za dokumentujący jego twierdzenie.

Reportaż polski zdaje się wchodzić na tę drogę.

Mirosława Żulawskiego nie można uważać tylko za reportera. Ale czymże innym jak nie reportażem czystej wody jest rozdział w Piętej Gwieździe opisujący przejazd przez Francję. Pełno tam informacji o rozgałęzieniach dróg, o oberżach, o roślinności, o pejzażach, ale przede wszystkim opisuje jazdy samochodem nie starczy dokumentacja. Choćby reporter wyłaził ze skóry opisując szczegóły techniczne swego wozu, opowiadanie zawsze pozostanie wiwisekcyjną zabawką, która nie podskoczy. Dopiero kiedy się zbliży do niej reporter artysta. A wówczas:

Dobra to rzecz, ta autostrada, biegnie między wzgórzami porośniętymi łożyskami i łożyskami sosną i dębem korkowym, wiję się jak rzeka wśród naturalnych linii spadku. I można będzie już nie myśleć o niczym, tylko skupić się na tym, by prowadzić ostro i szybko, co jest najwłaściwszą przyjemnością jaka istnieje, a w każdym razie najdłuższą, jeśli nie najwłaściwszą, bo te wszystkie inne są krótkie. Trzeba przestać myśleć, jeśli się chce dobrze prowadzić, trzeba przestać zajmować się cokolwiek innym, trzeba stać się drogą, pejzażem, słońcem czy deszczem, niebem i samochodem, dlatego niektórzy prowadzą bosą, aby zjednoczyć się z mechaniką i stanowić z nią jedno. I trzeba słyszeć motor, trzeba słyszeć przez cały czas motor, jakby to było twoje własne serce. Bo prowadzi się nie rękami i nogami, prowadzi się uszami, mało kto dobrze to robi, ale też mało kto umie prowadzić naprawdę... Trzeba oczywiście wrzucać biegi w sam czas, ani o mgnienie oka za wcześniej i ani o mgnienie oka za późno, dawać tyle gazu, ile właśnie trzeba i nie dusić silnika, ani też nie dawać mu się zachodzić, pamiętając, że prowadzenie nie wymaga robienia hałasu. Wtedy jakże cudownie można się czuć na dobrej drodze, za kierownicą dobrego samochodu, jak lekko i pewnie, jak cudownie! Wsiadł w silnik w wysoki jak dyfuzor i w szum opon na szorstkim makadamie. Sto dwadzieścia. Autostrada biegnie łukiem pomiędzy wzgórzami, na których było widać czarne poporzelska po niedawnych pożarach lasu. Silnik pracował z dźwiękiem czystym jak śpiew.

Musiabym za wiele cytować, daję tu tylko przykłady. Już pisalem, a nawet nieco krytycznie, o nadużywaniu puent literackich w reportażach Lovella.

Nawet zdecydowany przeciwnik „literatury” w reportażu K. Dzielanowski, potrafił tak oto rozpocząć rozdział o bawelnie, który jednak tytułuje nie informacyjnie — bawelna, tylko literacko — białe złoto.

Jest już niemłoda, choć jej śnieżnobiała, a czasem lekko śniada cera podbija wciąż jeszcze ser-

ca niesliczonych ludzi. A mimo to ma już parę tysięcy lat. Jest zmienna, występuje pod dwudziestu pięciu rozmaitymi postaciami. Ma trzynastu potężnych wrogów i kilka milionów żołnierzy i oficerów. Oczekują na nią w dwadzieścia czterech krajach. Na jej czele śpiewają pieśni ciemnowłosej robotnicy w jeszcze ciemniejszych fabrykach. Dla niej zdzierają gardła ścietnie ubrani, starzy i młodzi mężczyźni w wielkim budynku giełdy w Aleksandrii. Dla niej przybywają do Egiptu maźni panowie z całej Europy, z Dalekiego Wschodu i z Ameryki, jak niegdyś rzymscy mężowie przybywali do Kleopatry. Jedną trzecią część pól uprawnych Egiptu jest jej poświęcona. Jedną trzecią część egipskich fellahów troszczy się o jej zdrowie i prosi Allaha o jej pomyślność. Cały rząd egipski słucha z napięciem meldunków o jej kapryśkach. Zwiąż ją „Białym Złotem”.

Podkreśliłem słowa dające dokumentację. Ale dokumentacji przysłała z pomocą forma literacka.

Są to cytaty dosyć przypadkowe. Może jednak podbudowują twierdzenie Różewicza:

Wydaje mi się, że tacy pisarze, jak Hemingway, Malaparte wytyczają nowe drogi, po których będą wędrowali współcześni reportażyści. To oni zatarli granicę między reportażem, prozą artystyczną, prozą poetycką — a zacierając granicę przesunęli ją w nieskończoność. Otworzyli nowe perspektywy. Rozbili rodzaje literackie.

Można tu mieć zastrzeżenia co do powoływania się na Malapartę — imaginatyka jako na klasyka reportażu.

Ale należy podkreślić jeden akces — poetycki. Miał rację Benedetto Croce: granice się zacierały.

Krytyka polska poczyniła wręcz domagać się uwzględnienia w reportażu walorów literackich.

Nie od dziś sądzę — pisze Zabicki w Nowych Książkach — że współczesny reportaż nie może obejść się bez koniecznego minimum beletryzacji. Nie może zabraknąć reporterowi w ogóle jakichkolwiek ambicji literackich. Otrzymujemy wówczas coś na kształt składanki z produkcyjnej kroniki filmowej. I to bynajmniej nie jest najciekawszej.

Jacek Kajtoch zarzuca, że Barbara Seldner w swych reportażach dysponuje stanowczo za małym wachlarzem środków pisarskich (to samo jej zarzuca Zbigniew Zabicki).

Paweł Dubiel, pisząc o reportażach Andrzeja Zeromskiego robi uwagę, że nie tutaj nie zmienia utracane czasem odautorskie określenie „reportaż”, nie przemienia na to reportaże — artykułów.

Wysuwa się więc żądanie poszerzenia wachlarza. Podkreśla to Walery Pisarek, pisząc o Zatoce Białych Niedźwiedzi J. J. Szepepańskiego: Książka, która właściwie nie jest ani reportażem, ani kroniką, ani tym bardziej literaturą przygodową czy publicystyczną. A jednak jest wszystkim z tego po trochu i to wszystkim w dobrym wydaniu.

A więc po rewizji (po pierwszej wojnie) na rzecz faktomontażu, po drugiej wojnie ten rewizjonizm posunęliśmy dalej — na rzecz artysty.

Kazimierz Bosek w piśmie „młodych” (tak przynajmniej startowała Współczesność) w recenzji o Holdzie stwierdza, że reportażyści polscy najwłaściwiej edycji (mówi o Kapuścińskim, Drodowskim, Krasieńskim i innych) przekształcili reportaż w gatunek nie mający (poza Wańkowiczem i Pruszyńskim) wzorców w naszym dziennikarstwie i literaturze. Nieodwracalny proces rozwojowy reportażu — tak charakterystyczny dla ostatnich lat — nazwałbym zanikaniem czystych jego form na drodze wzajemnego przenikania się gatunków literackich.

Melchior Wańkowicz

Gdzie w Białostockiem leży Radom?

Stanisław Świerad



ELK. Nad jeziorem.

Fot. Roman Sienko

S PORO mówiono już o potrzebie aktywizacji małych miast. Podejmowano zasadniczej wagi uchwały, które w mniejszym lub większym stopniu zrealizowano i tym samym podwinięto z upadku wiele białostockich miast. Małymi miastami okazały się przy tym prawie wszystkie miasta w województwie, poza Białymstokiem, oczywiście. Władze tych miast naciskały wszelkimi dostępnymi środkami, aby z kieszy wojewódzkiej otrzymały jak największe fundusze na aktywizację. Dzielono więc pieniądze sprawiedliwie, każdemu według wielkości potrzeb. Oczywiście, nie wszyscy byli zadowoleni. Ale to normalne. We wszystkich prawie białostockich miastach coś zrobiono, tak, że zmiany są widoczne, ale to wcale nie oznacza, iż zniwelowano dysproporcje w rozwoju poszczególnych ośrodków.

Czy dalej należy w podobny sposób dzielić wszystkie środki przeznaczone na rozwój miast w województwie białostockim? Każdemu miastu proporcjonalnie do jego potrzeb? A może inaczej? Jednym więcej, innym znacznie mniej, a jeszcze innym mało, bardzo mało? Na pierwszy rzut oka stawiam pytania wręcz prowokacyjne. (Już słyszę, jak zewsząd rozlegają się głośnie protesty).

Ale spokojnie, spokojnie... spojrzenie na mapy innych województw przekonuje, że różnią się one zasadniczo od białostockiej mapy. Przede wszystkim mówią one o mniejszych dysproporcjach w rozwoju miast wojewódzkiego i miast powiatowych. W większości województw kształtują się wyraźne ośrodki podregionalne, będące przeciwną dla wojewódzkiego metropolii.

Przykłady? Proszę bardzo. Lubelskie: Zamość, Chełm, ostatnio Puławy. Kieleckie: Radom, Skarżysko, Sandomierz. Rzeszowskie: Przemysł, Jarosław, Krosno. Krakowskie: Tarnów, Nowy Sącz, Bydgoskie: Toruń, Inowrocław, Grudziądz, Warszawa: Płock, Mława, Siedlce. Nie wspominać o Górnym i Dolnym Śląsku, ponieważ te dwa województwa nie są z Białostocką porównywalne.

Cudów nie ma; z wszystkich powiatowych ośrodków nie uda się nam zrobić miast z prawdziwego zdarzenia. Proces taki trwałby długo, bardzo długo, gdybyśmy dalej prowadzili obecną politykę aktywizacyjną. Więcej, z upływem lat na-

rastaliby różnice w wielkości Białostoku i miast powiatowych, których szanse skupienia ludności, a głównie młodzieży, byłyby coraz mniejsze w porównaniu ze stolicą województwa.

Jedynym wyjściem z tej kłopotliwej sytuacji to koncentracja nakładów inwestycyjnych w kilku wybranych miastach, które z czasem spełniałyby funkcje podregionalne i ponadpowiatowe. Ze względów historycznych, geograficznych położenia oraz roli, jaką teraz już spełniają, najbardziej predystynowane są do tego w województwie białostockim Łomża, Elk, Suwałki i Bielsk Podlaski.

W tych czterech miastach należałoby w najbliższych latach skupić większe zakłady przemysłowe, intensywnie rozwijać budownictwo mieszkaniowe, socjalne, oświatowo-kulturalne. Zresztą w przypadku trzech pierwszych miast już się to robi: w ostatnich latach wybudowano duże obiekty przemysłowe, przystąpiono do porządkowania gospodarki komunalnej, wzniesiono nowe gmachy kulturalne i oświatowe. Gorzej nieco rzecz się ma z Bielskiem Podlaskim.

Moim zdaniem za kilkanaście lat (jestem raczej ostrożny w przewidywaniach) ludność tych czterech miast powinna wzrosnąć o jakieś dwadzieścia, trzydzieści tysięcy mieszkańców, a więc dwukrotnie.

Trzeba brać pod uwagę jeszcze jeden aspekt tego zagadnienia: koncentracja inwestycji w wybranych ośrodkach miejskich znacznie ułatwia ich realizację, pozwala w pełni wykorzystywać możliwości produkcyjne przedsiębiorstw budowlanych oraz wpływa na obniżenie kosztów nowych inwestycji. A o tym też nie wolno zapominać, ponieważ wielu inwestycji nie możemy teraz zrealizować tylko dlatego, że nie mamy wolnych mocy produkcyjnych w budownictwie.

Ale od razu rodzi się pytanie, a raczej zastrzeżenie: przecież tracąc na tym inne miasta, te mniejsze! Wydaje się, że to tylko pozorne straty. Młodzież z małych miast dalej będzie się przenosić do większych, atrakcyjniejszych ośrodków miejskich. Częściowo do Białostoku, ale w znacznej części do innych, bardziej zurbanizowanych województw. Czyż więc nie lepiej zatrzymać ją w Łomży, Suwałkach czy Bielsku Podlaskim?

Oczywiście! Ale tak może się stać tylko wtedy, kiedy Łomża czy Bielsk będą naprawdę prawdziwymi rywalami dla Radomia, Tarnowa, Torunia, Płocka, Legnicy czy Słup-

ska. Życie dyktuje konieczność stwarzania w każdym województwie takich ośrodków miejskich, które byłyby pośrednim ogniwem między miastem wojewódzkim a miastem powiatowym. Oczywiście, nie chodzi mi o funkcje administracyjne, ale przede wszystkim o funkcje gospodarcze i kulturalne. Nie stać nas na to, aby z wszystkich ośrodków powiatowych uczynić miasta na miarę Płocka czy Tarnowa. Ale na pewno jesteśmy w stanie rozbudować kilka wybranych miast i przekształcić je w ośrodki ponadpowiatowe, przy czym — o tym też należy pamiętać — Łomża i Elk w pewnym sensie już pełnią w niektórych dziedzinach życia gospodarczego i kulturalnego funkcje o zasięgu międzypowiatowym. Łomża jest „stolicą” podregionu kurpiowskiego, a Elk trzech północnych powiatów: elkiego, oleckiego i gołdapskiego — EGO.

W czterech miastach, o których mowa, mieszczą się także instytucje obsługujące mieszkańców kilku sąsiednich powiatów. Miasta te są również dużymi ośrodkami szkolnymi. W każdym z nich znajduje się po kilka szkół zawodowych i średnich, a w Elku ponadto Studium Nauczycielskie. Czy nie mają tutaj racji bytu większe placówki kulturalne np. teatry? Utopia? Chyba nie. Przecież Toruń, Grudziądz czy Bielsko Biala mają teatry, odwiedzane przez publiczność z wielu innych miast.

Wcale się nie zdziwiłem, kiedy łomżyński architekt pokazywał mi na projekcie zagospodarowania przestrzennego ich miasta miejsce zarezerwowane pod budowę gmachu teatru. Nie zdziwiłem się także, kiedy na serio mówili o budowie supermarketu — centralnego ośrodka usługowo-handlowego. Wystarczy tylko odwiedzić Łomżę, Elk, Suwałki czy inne białostockie miasta w dniu, w którym przyjeżdża objazdowy teatr, by się przekonać, że nie są to jakieś tam wymudane mrzonki, ale realne potrzeby.

Oczywiście, łatwo pisać, krytykować, postulować, ale trudniej podjąć takie decyzje, które mogłyby zadowolić na równi mieszkańca Łomży i Kolna, Elku i Gołdapi. Dlatego zdaję sobie sprawę, że problemy poruszone w artykule wymagają dokładnego, spokojnego przedyskutowania i następnie rozstrzygnięcia. Jedno jest dla mnie pewne: należy koniecznie zniwelować dysproporcje w rozwoju Białostoku i miast powiatowych.

Czy od razu wszystkich miast powiatowych? Otóż to!

Tadeusz Gicgier

To kraj twej młodości

To kraj, twej młodości, matko, przebrity włócznią sierpnia. Wszystko jak dawniej tylko drzewa przydrożne urosły: rzucają głębszy cień. Drapieżne piękno lata, cios jego ostry, gwałtowny. Zginam się pod nim do ziemi i czuję oddech twój.

Stukot obcasów o płyty chodnika — blisko — tuż za oknami — — — czemu nacicha, czemu się oddala? Cisz. Umarła cisza. Martwa fala.

Ktoś puknął w szybę... Ach, to wiatr zapukał. Szelest na schodach... Ach, to kot dał susa. Noc. Znów późny przeszedł przechodzień. Teraz to ty na pewno Nie, to spadło jabłko w ogrodzie.

Więc już nie przyjdiesz. Jabłko, Kot, Wiatr. Drzewa. Czemu to ty nie jesteś? Czemu to ty nie jesteś? Czemu cię nie ma?...

Wierzyłem, że jesteś domem na dębowej przyciesi, że będę zawsze bezpieczny, kiedy pod dach twój się schronię, i że uczynisz schronienia nie tylko mnie.

A tyś jest lichym szalaszem, dziurawym koszem z wikliny, w nim płynąc — Mojżesz chybiony nie tylko nie wyprowadzę nikogo z nikąd, lecz sam pójdę na dno.

A muza była czarna i straszyla brwi, boiłem chciała być pierwszą muzą nastroszoną, chodziła promenadą kilku letnich dni,

obnosząc twarz zamkniętą i nieodgadnioną.

Dnia siódmego, po burzy, gdy błyskawic krzyż zdjął z niej pieczęć, uczynił od uśmiechu widną, na małym czarnym skrzydle uniosła mnie wzwyż, a gdy zamknęłam oczy — usunęła skrzydło.

Nauka milczenia

Pod oknem naga palak bzu, strzelista jak styczeń, a już pierwszy pęk nabrzmiał zielonym bólem

u jej wierzchołka. Cierpnąc na mrozie, cierpki jak cierpienie, w milczeniu znosi dramat poczęcia, milczeniem doprasza się o białą kiść śniegu, śnieg biały, biały bez, taką galę bzu rzuciłaś mi kiedyś w okno, milcząc, gdy pytam, gdzie jest tamta zima

Białystok

Z tomiku pt. „Zimowy owoc”, który ukazał się w roku bieżącym.



Maria Dąbrowska i Konstanty Paustowski. Fot. Danuta B. Lomaczewska

„Kocham ludzi...”

POD tytułem „Co mi powiedział Paustowski przed 6 laty?” — w tygodniku francuskim „Les lettres françaises” z 30 sierpnia ukazała się relacja z rozmowy, którą Lilly Denis przeprowadziła z 70-letnim Konstantym Paustowskim podczas jego pobytu w Paryżu w 1962 r. Oto najważniejsze fragmenty tej rozmowy.

- Przyjeżdżając do Paryża złamał pan zakaz lekarzy. Dlaczego?
- Ponieważ to był sen mego życia. Pani nie zdaje sobie sprawy z tego, co Paryż reprezentuje dla nas, intelektualistów radzieckich. W myślach znalazłem wszystkie kamienie tutaj. Ale dopiero teraz zobaczyłem piękno tego miasta! Jego opalowe mgły, to wszystko, co się z nich wylania...
- A potem na pytanie o tłumaczenia dzieł francuskich powiedział m. in.:
- Wierzę, że ZSRR jest w przededniu prawdziwego renesansu, nowego wieku złotej prozy rosyjskiej, do tego nieuchronnie pcha nas wieczne żywa siła.
- Mówmy o „nowej powieści” francuskiej. Czy nie wydaje się ona panu literaturą laboratoryjną, dostępną tylko dla wąskiego grona specjalistów? Trudno wyobrazić sobie rybaka bretońskiego czytającego Robbe-Grilleta, ale kierowcy traktorów czytają Paustowskiego, to jest literatura wartościowa, lecz inna.
- Literatura laboratoryjna — to dobre określenie. Ale właśnie dlatego nie będzie czytana przez masy naszych czytelników. Z drugiej strony jest ona użyteczna dla pisarzy, więc trzeba ją tłumaczyć. To są ciekawe ćwiczenia formy i idei, ale to jak gra w szachy. Człowiek jest tam zbyt często nieobecny. Rezultatem są dzieła, które mają dużo pieprznej bystrości, ale gdzie brak zupełnie poczucia wolności i sprawiedliwości...
- Kto był dla pana mistrzem?
- Merimée, Flaubert, Maupassant i nasi wszyscy klasycy z wyjątkiem Gonczarowa i Dostojewskiego.
- Skąd te wyjątki?
- To jest sprawa osobistego odczucia. Tamci mobilizują mnie do pisania, Dostojewski wyrzuca mi pióro z ręki. Nie pomniejszam geniuszu Dostojewskiego, ale dla mnie jest on zbyt czarny, pozbawia mnie odciagi. Odpowiada mi wielu z jego bohaterów, ale nie ojciec Karamazow, nie Smerdiakow, oni są zbyt chorobliwi. Ja jestem optymistą, tym, którego nazywają „konkretnym romantykiem”: widzę sprawy takie, jakie są, ale kocham życie, kocham ludzi. Każdy fakt, każdy przedmiot jest dla mnie cenny. Uwaga, mogę pani złożyć wyznanie: za każdym razem, gdy się waham, gdy wątpię w samego siebie, zapytuję się — co zrobiłbym mając dwadzieścia lat? I robię właśnie to, co zrobiłbym mając dwadzieścia lat.
- Podczas gdy tak rozmawialiśmy uśmiech rozjaśnił jego nieruchomą dotąd twarz. Chciałbym otrzymać na zawsze jego twarz, ale nie miał swojej fotografii. Dzisiaj śmierć rozjaśniła tę twarz. Liść z wyrazistymi żyłkami oddzielił się od pnia. Ale drzewo zostało zasadzone, aby przetrwać wieki.

WOLA Okrzejska, w której przyszedł na świat Henryk Sienkiewicz, była rodziną wsią jego matki, wywodzącej się z zamożnego rodu Cieliszowskich, spokrewnionego z licznymi rodzinami, osiadłymi w powiecie łukowskim. Do Cieliszowskich należały tzw. dobra okrzejskie, a więc Okrzeja i Wola Okrzejska oraz Uleń Górny (w powiecie garwolińskim) wraz z folwarkami: Zabieniec, Trzcianki i Grabowce. Właśnie w Grabowcach w latach 1843—1855 gospodarowali rodzice pisarza. Ale powiat garwoliński utworzono dopiero w 1856 r. z zachodniej części powiatu łukowskiego, toteż wczesne dzieciństwo autora „Trylogii” upłynęło w zasadzie na Ziemi Łukowskiej. Potem Sienkiewiczowie przenieśli się do Wężyca w powiecie mińsko-mazowieckim, ale nadal istniały żywe kontakty z dworem w Woli Okrzejskiej, który pisarz nazywał domem swojej babki. Tu miał okazję zetknąć się z literaturą doby Odrodzenia i tu się zrodził jego głęboki kult dla przeszłości i mowy ojczyzny. Wspominając po latach czas swej młodości Sienkiewicz tak mówił do Mariana Gawalewicza: Zamłowanie do literatury rozwinęły we mnie stare księgi, których pełny kufer znalazłem u babki na strychu i dzięki nim jako dzieciak jeszcze zapoznałem się z pisarzami złotego wieku: Rejem, Kochanowskim, Górnickim, Skargą, Birkowskim, Orzechowskim i innymi. To byli pierwsi moi nauczyciele polskiego języka.

W 1861 r. Sienkiewiczowie, sprzedawszy Wężycyn, przenieśli się z resztkami majątku do Warszawy, ale to w najmniejszym stopniu nie osłabiło więzi z ich synem z Ziemią Łukowską. Ferie zimowe i letnie spędzał młody Sienkiewicz w Woli Okrzejskiej, jeszcze częściowo w Burcu, gdzie gospodarowali krewni ze strony matki, Dmochowscy. Tu uczył się i bawił z ciotecznym rodzeństwem, polował, jeździł konno, odwiedzał okoliczne wsie i folwarki, przyglądał się życiu wsi pańszczyźnianej i powłaszczeniowej. Poznał Sienkiewicz i wieś mazowiecką będąc przez rok korepetytorem we dworze w Poświętnem w powiecie płońskim, ale w pamięci najlepiej zachował Ziemię Łukowską. Tu odpoczywał, tu czuł się swobodnie wśród swoich krewnych bliższych i dalszych, tu był grób jego matki na cmentarzu w Okrzei, stąd pochodziła jego trzecia żona, Marcjanna z Babskich.

W latach dojrzałych Sienkiewicz przyjeżdżał do stron rodzinnych nie tylko na polowania i odpoczynek. W 1880 r. plaże w Rudzie i w Burcu jednocześnie kilka utworów, o czym donosił w korespondencji do przyjaciela, Mściława Godlewskiego: Mieszaniny (lit-

racko-artystycznej) nadeszły za parę dni. W tej chwili nie bardzo mogę pisać, bo dom tu szczypliwy, a prócz mnie bawią inni goście, więc prawie nie mam osobnego pokoju. Pięszę w saloniku, gdzie raz w raz ktoś zagląda.

Dwa tygodnie później donosił już z Burca: Wieczorami robię więc Kronikę, a rankami (...) powieść pełną awantur nad Sacramento. Ową powieścią „pełną awantur” była nowela amerykańska „W krainie złota”, „Kronikę” zaś — „Niewola tatarska”, utwór będący niejako uwerturą do wkrótce rozpoczętej „Trylogii”. W Burcu też powstał dramat „Na jedną kartę”. Właśnie ów Burzec zafascynował pisarza.

Ziemia Łukowska, jak większa część Podlasia lubelskiego, ma glebę na ogół nieurodzajną i jest uboga w malownicze widoki, toteż jej krajobraz pisarz tak określił w liście wysłanym z Rudy do M. Godlewskiego: Podlasie jest sobie Podlasie: piasek, piasek-uoda, błoto, lasek”. Na takim tle Burzec (którego krajobraz dziś nieco się zmienił), rozległy folwark liczący prawie 2000 morgów, odznaczał się rzeczywiście szczególnym urokiem. Zauważał go przede wszystkim bujna roślinność i ogromnemu stawowi pełnemu wodnego ptactwa i kwiatów. Staw z jednej strony był otoczony parkiem, w którym rosły kasztany, wiąz i lipy, podszycie krzewami jaśminów i bzu, po przeciwległej zaś stronie — za ścianą szuwarów, ciągnął się las sosnowy. Przy stawie był też młyn wodny i grobla. Między parkiem i stawem, na skraju dawnej fosy, rosła potężna, rozłożysta lipa. Przy parku wznosił się dwór modrzewiowy z przybudówkami i oficynami, wiodła zaś do niego lipowa aleja. Opis takiego folwarku wraz z realiami odnoszącymi się do okolic Okrzei pojawia się już w „Humoreskach z teki Worszylły”. Trzeba przy tym nadmienić, że pod Okrzeją, leżącą w pobliżu równiny maciejowskiej, wznosiły się na rozległym wzgórzu ruiny zamku, wokół którego ciągnęły się okopy — jak wówczas mówiono — z okresu wojen szwedzkich.

I oto w „Humoreskach” mamy taki fragment:

Złotopole ślicznie wygięte z bliska i z daleka. Pałac pański prawdziwie wygodny; za pałacem ogród (...) szumliący odwiecznymi drzewami; za drzewami szeroka i ogromna szyna wody, młyn, tartak, grobla sadzona jarzębiną, po bokach, jak okiem dojrzał, lany (...) — i na końcu widnokręgu okrawek lasu, czarna, szumiąca cholina.

Śliczne to twoje Złotopole! — powtórzyl księżę Antos, w której stronę pójdziemy?

— Chodźmy na okop szwedzki; stamtąd piękny widok.

— A gdzie to jest?

— A za ogrodem, niedaleko stawu.

— Ewokuje obrazy stron rodzinnych, wprowadził Sienkiewicz do noweli „Hania” realia z Burca: a więc dwór, do którego wiedzie ale-

ja lipowa, przytulne pokoje z portretami przodków, cieniasty ogród, lalekę pod ogromną lipą, skąd istotnie widok był bardzo piękny na staw, groble i las za stawem.

Wspomnienie Burca przewija się zresztą przez wiele późniejszych utworów pisarza. I tak — jak głosi tradycja rodzinna — „staw burzecki” gościł za jego pamięci porucznicy szuwarami” posłużył mu do opisu stawu pod Zbarazem, przez który w „Ogniem i mieczem” przepływał się Skrzetuski. Później, gdy Meranie pracował nad „Potopem” znów przywołał wizję Burca z lat młodości i tak zainicjował XI rozdział I tomu:

Wsi Burzec, położonej w Ziemi Łukowskiej na pograniczu województwa podlaskiego, a należącej podówczas do państwa Skrzetuskich, w sadzie między dworem a stawem siedział na ławie stary człowiek (...) spodziewając na staw i za staw, hen na czarno i wnie bory ciągnące się jak okiem dojrzał, po drugim brzegu (...). Nad wielkim stawem, z trzcin odległych (...) podnosiły się czasem stada kaczek, cyranek lub dzikich gęsi i szybowaty w błękitnym przeczczu.

Burzec występuje tu jako symbol harmonii i siły, kontrastujący z powszechnym wówczas w kraju wznętem. Tu przecież mieszkał sławny zbieracz — uosobienie wierności i wytrwałości, okoliczna zaś szlachta wszystko ludzi doświadczeni i dobrzy żołnierze. Toteż kiedy w kraju szerzyła się zdrada, kiedy padały całe województwa — na Ziemi Łukowskiej krzepił ruch oporu przeciwko Szwedom, stąd szedł ochotnik do konfederatów, szło również chłopstwo do oddziałów leńskich walczących z najeźdźcą. W taki oto sposób podkreślał pisarz tradycje rycerskie i patriotyczne swoich stron rodzinnych.

A tradycje te były żywe i bogate. Wiązały się one z równiną maciejowską, z bitwą pod Kockiem i z działalnością spiskową poprzedzającą wybuch powstania listopadowego. Potem tu, w Łukowakim, przmiały pod Stoczkiem armaty Dwernickiego, w pamiętnym zaś roku 63 działały liczne grupy partyzanckie. Tu wspierany przez chłopów wikariusz łukowski, ks. Stanisław Brzóska, stoczył zwycięską niejedną potyczkę, tu w lesie Jatki ciągnącym się na południowy chód od Łukowa wyginał też nie jeden oddziałek powstańczy. Ale o sprawach tych nie wolno było pisać, toteż Sienkiewicz stawiał pomniki walki narodowej cofając się w przeszłość bardziej już odległą. Niemniej jego pamięć o roku 1863 na rodzinnej ziemi odbiła się w pewien sposób w „Selmie Mirzy” oraz w „Szkicach węglem”, po latach zaś — „We mgle”, w obrazku, w którym relacja o losach oddziału powstańczego wiąże się niewątpliwie ze sferą wspomnień wniesionych z Burca, z „klechdą domową” rodziny Dmochowskich.

NA NOWĄ SZKOŁĘ

Listy Oktawii i Stefana Żeromskich

WSROD papierów po Marii z Kreczkowskich i Wilhelmie Feldmannach, zdeponowanych w bibliotece Ossolineum we Wrocławiu (rkps 12285 III i 12287 III), zachowały się 24 listy Oktawii i Stefana Żeromskich. Większość z nich, pisana w roku 1907, zawiera informacje związane z edycją książki, złożonej z utworów wybitnych pisarzy, a zatytułowanej „Na nową szkołę”. Dochód z jej rozprzedaży miał pomógł, według planów Żeromskiego, fundusze niezbędne do ukończenia budowy ochrony w Nalęczowie.

Ochronka nalęczowska, z inicjatywą, pod patronatem i z pomocą finansową Żeromskich, działała od początku r. 1905. Ulokowana w tym okresie w mieszkaniu Żeromskich, w willi „Oktawia”, nie mieściła wszystkich dzieł, a brak własnego lokalu utrudniał jej rozwój. Pisarz postanowił więc wybudować, przy pomocy społeczeństwa, nowy budynek.

Fundusze na zakup placu i budowę domu gromadzono w różny sposób. Inicjator przedsięwzięcia sędował na ten cel dochód z „Dzieńców grzechu” — ponieważ jednak to nie wystarczało, powstał projekt wydania książki „Na nową szkołę”. Edycja ta, zrealizowana w r. 1907,

nie przyniosła spodziewanego dochodu, przysporzyła za to Żeromskiemu dodatkowych trosk, które tak wymownie referują właśnie publikowane tu częściowo w całości, częściowo we fragmentach listy.

Obok typowo nalęczowskich, społecznych problemów nie brak w nich i innych informacji natury ogólnej, i wiadomości z życia prywatnego Żeromskich. Listy te, przypominając dawno przebrzmiałe sprawy, pozwalają lepiej zrozumieć dziś społecznikowskie pasje, ale i ogromne trudności, z jakimi borykał się ten niepospolitej miary pisarz.

Krystyna Jabłońska

Lozanna d 10 I 1907

Szanowny Panie Redaktorze!

List mój nie zastanie Szanownego Pana w Krakowie. I ja piszę w ostatniej chwili wyjazdu do Rzymu (na razie). Gdy Pan otrzyma ten list, będzie to już po Pańskim powrocie z Warszawy. Zdaje się, że do tego czasu nadeszła rekopis z Zakopanego [do tomu „Na nową szkołę”], o które najbardziej chodzi. Czy Pan nie mógłby jeszcze raz napisać do Kasprowicza? Ja już tyle razy pisałem, że więcej nie sposób.

Teraz pytania:

1) Czy nadesłał nowelę dużą [Wacław] Grubiński i studium o Berwińskim — [Jana] Lorentowicz. Obydwa [utwory] miały być nadesłane.

2) Czy Pan Szanowny mógłby tak wydrukować utwór [Stanisława] Przybyszewskiego, który jest w tece „Krytyki”, żeby do książki mógł pójść niezwłocznie przedruk? Przybyszewski tak mi właśnie do książki ów utwór ofiarował. Co do Pani [Bronisławy] Ostrowskiej, to może Szanowny Pan zechce wybrać który z jej wierszy drukowanych w „Krytyce”, gdyż nie chciałbym jej obrabowywać z nowych rzeczy ze względu na honoraria. To samo stosuje się do innych autorów. Najusilniej proszę Szanownego Pana o wybór zawsze, gdyż teraz z Włoch porozumieć się będzie bardzo trudno, a ja we wszystkim polegam na Panu lepiej, niż na sobie.

Zobligowałem wielokrotnie Micińskiego i tyłu innych — i jakoś wszystko na solennych obłędnicach się kończy.

A czy ów Hymn („Veni Creator” Wyspiańskiego) nie mógłby żadną miarą być zamieszczony?

Może szanowny Pan zechciałby zostawić coś [?] dla potęg rządzących tymi sprawami! Myślałem o jakim wierszu Konopnickiej, ale nie wiem, gdzie ona jest, a zresztą pewnie nie da — jak Orzeszkowa. Zbyt wysokie progi. W ogóle tyle jest wysokich progów w tej literaturze polskiej, tak trzeba zbijać kolana, pragnąc uzyskać jakiś przedruk do książki na cel ogólny! No, co tam! Dziękuję Panu za pomoc.

Adres mój tymczasem (Italia) Roma. Poste restante (ferma posta).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku dla Oboj[ga] Państwa i [serdecznie?] pozdrawiam. S. Żerom.

Mam głęboką wdzięczność dla Staffa, Lemańskiego i innych, którzy pospieszyli mi z pomocą. Wielcy ludzie jak Berent, Kasprowicz nie raczyli uwzględnić potrzeby.

Szanowny Panie Redaktorze!

Myślę nadać książkę zbiorowej następujący tytuł: „Na nową szkołę” — książka zbiorowa zawierająca utwory: St. Wyspiańskiego, Bolesława Prusa, Jana Kasprowicza, Stanisława Witkiewicza, Stanisława Przybyszewskiego, Leopolda Staffa, Wilhelma Feldmana, Wacława Sieroszewskiego, Tadeusza Micińskiego, Jana Lorentowicza, Jana Lemańskiego, Wacława Grubińskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Bronisławy Ostrowskiej, Huberta Nowiny, Władysława Orkana, Górczyńskiego, Żeromskiego.

Porządek raczy Szanowny Pan ułożyć sam, gdyż na tym się nie znam. Prosiłbym bardzo, jeśli się Szanowny Pan na tytuł i porządek zgodzi, przesłać rozmiar książki Janowi Witkiewiczowi pod adresem: Bolesław Miklaszewski (Polna 48 m. 8 w Warszawie) dla Jana W. (bez nazwiska) który wykona kliszę drzeworytniczą na okładce (widok ochrony w Nalęczowie, który umieści się z boku, jak to podałem na poprzedniej stronicy).

Pisałem jeszcze raz do Kasprowicza, Micińskiego i Witkiewicza o przysłanie utworów. Czy przytali? Trwoga mię nęka o Przybyszewskiego. Czy będzie mógł być jego utwór w tej książce?

Ja w tej chwili mogę dać tylko przedruk „Zemsta jest moja” — tym bardziej, że to pasuje do tej książki.

Na Nowaczyńskiego nie mogę liczyć, żeby dał coś nowego, toteż chciałbym przedrukować felieton

„Wesoly Tadzio i smutny! (czy głupi?) Władzio” z „Nowej Gazety”. Może Sz. Pan wydobędzie to od niego. Przecie to mógłby dać bez żadnej straty.

Przepraszaając Szanownego Pana za wszystkie te kłopoty, łączę w razie głębokiego szacunku

S. Żeromski

Rzym
d 19 I 1907
via Aurora(?) Pensjonat) Rosada.

Zestawienie to nie zawiera nazwisk wszystkich autorów utworów zamieszczonych w zbiorowej publikacji, m. in. brak tu i Marii Konopnickiej, i Gustawa Daniłowiczego, i szeregu mniej znanych. Książka „Na nową szkołę” ukazała się drukiem z wiosną 1907 r., w sprzedaży znalazła się pod koniec tego roku. Spodziewanego dochodu nieomal nie przyniosła, mimo iż opłaconą była adnotacją: „Dochód ze sprzedaży przeznaczony na pokrycie kosztów budowy wzorowej szkoły -ochrony wiejskiej w Nalęczowie, -ochrony wiejskiej w Nalęczowie, -ochrony wiejskiej w Nalęczowie, -ochrony wiejskiej w Nalęczowie”. Wzrostający stronie listu, wypełniając nim szeroki margines obok zestawienia nazwisk autorów.

[Capri] 14 II [1907]

Szanowny Panie Redaktorze! Wczoraj otrzymałem od p. Marii Konopnickiej wiersz do książki zbiorowej „Na nową szkołę”. Łączę wyrazy najgłębszego szacunku

S. Żeromski

Szanowny Panie Redaktorze! Dziękuję najuprzejmie za książkę i informacje. Wobec takiego kompletu autorów do książki zbiorowej „Na nową szkołę” decyduję

w twórczości Henryka Sienkiewicza

Wojciech Kielczewski

Regina Gerlecka

myśli zgasną
na wietrze
zdarzeń

znów zostaną w ciemnościach
pudełko z zapalnikami
wypalonymi
w jakimś momencie
marzeń

Uciecha oczu

uciecha oczu
mogących przeszkakiwać
z mebla na mebel
z drzewa na drzewo
z ziemi na niebo

na księżyc
na gwiazdy

powracać stamtąd
do własnego gniazda
pod własną strzechą
powiek

uciecha oczu
mogących toczyć się
mgławicami leż
kryć się w zaroślach
głośniego chichotu
pancerzowiec w powadze
błądzić w stepach smutku
samotności

Lublin

Anna Beata
Chodorowska

Przed burzą

Białki zwiędłe
opadały lekko
strojąc w czerwień i złoto
mój samotny bieg

Baby Jagi
na miotłach gałęzi
z drzeniem
czekały na wiatr

Mewy
błękitne od trwogi
przed chmur
czarnym śpiewaniem
rysowały ciche kręgi
na zapomnianej
jasności piasku

Toczyłam się jabłkiem
po dnie
spustoszonego sadu
Pod stopami piana
groźną warcząca
Wierny pies sztormu

Swinoujście

Zbigniew Falkowski

Miła moja

Córeczko Beszce

Miła moja, Ty mi świerszcz
stoisz,
Gdzie nam jechać? Sny żurawiem
lecają...
Za oknami pozostanie to, co boli,
A tu smolnym sercem rozpalimy
w piecu.
Miła moja, to jest promień
światła,
Wierzaj, zawsze wierzaj...
Gdy przez ciemną noc kopytna
pogoń —
Czas wytrwania uciąż się w nas
odmierza.

Warszawa

Debiut

Hanna Terpiłowska

Twoje słowa
przypominają mi chrząst piasku
kiedy stopa zanurza się
w konstelację drobnych ziarenek
strunę uśmiechu naciągasz na twarz
z dokładnością specjalisty ery
atomu

czekasz na echo
nie czekaj

echo nie dotknie muszli ucha
wszystko zasypał piasek

Warszawa

Kamona str. 7

Dwory ziemiańskie, występujące w innych utworach sienkiewiczkich, są jak w „Potopie”, wkomponowane w krajobraz, który kojarzy się z otoczeniem dworu burzeckiego. Wszędzie niezmiennie powtarza się motyw przede wszystkim stawu, grobli, olszyn, cieniistej alei, parku, łąk.

Wrocławski — pisze bohater „Bez dogmatu” — gdy pierwsze grzmoty lety rozstrzelały się po niebie, Piórunk palnął w staw leżący w końcu parku, a zaraz po nim drugi jeszcze bliżej.

Burzec pojawia się pod różnymi nazwami. Raz jest to Płoszów („Bez dogmatu”), innym razem Krzemień („Rodzina Polanieckich”), kiedy indziej jeszcze nazywa się Jastrzab („Wiry”). Zawsze jest jednak pełen niepewnego uroku, jaki mają rzeczy związane z beztróskim okresem dzieciństwa. Oto wizja Burca przywołana po latach na karty „Rodziny Polanieckich”:

Była godzina pierwsza po północy gdy Polaniecki zbliżał się do dworu w Krzemieniu (...). Nad zarostami, łąkami i gruzdźmi leżał nisko biały tuman zmieniając całą okolicę jakby w bezbrzeżne jezioro, które to zrodzenie powiększały jeszcze odrywające się w tumanie chóry zab (...). Czasem z daleka, od błotnistych stawów ukrytych za olszynami, odzywał się, jakby spod ziemi, głos baka.

Bryczka wtoczyła się na koniec do ws., która poczynił krzyk stojący na wydmie. Pochylił się on już bardzo i groźnym upadkiem (...). Za figurą poczyniła się pierwsze chaty. Bryczka posuwając się z wolna sypką, piaseczystą drogą, wtoczyła się na koniec w ciemną aleję (...). Na końcu tej alei (...) białiał dwór.

I jeszcze jeden fragment, tym razem z „Wirów”:

Jaskółki kręciły się chybką nad drzewami ogrodu i nad stawem (...). Za skoszonych świeżo trawiszkach dochodził mocny zapach przyżarzonych przez dzieńny upał kopek siano (...). Od olszyn okalających staw dolatywało (...) chłodne tchnienie...

Z dworu burzeckiego i z okolic Burca wyprowadził pisarz kilku bohaterów. I tak prototypem Mikołaja ze „Starego slugi” był stary Marcin, z którym Sienkiewicz zetknął się w dzieciństwie (o czym napomknął w jednym ze swych listów): za wzór księdza Ludwika z „Hani” posłużył ksiądz Ludwik Marczewski z burzeckiego dworu²⁾, prototypem Selima był Zdzisław Dmochowski z Burca, poległy w powstaniu styczniowym³⁾, pierwowzorem Hani — córka leśniczego z okolicy Burca⁴⁾, modelem zaś Plawickiego z „Rodziny Polanieckich” był pewien ziemianin z powiatu lukowskiego⁵⁾.

O samym Lukowie pisarz tylko wspominał w kilku felietonach i to przy okazji ogólnych rozważań nad stanem ulic w miastach i miasteczkach. Na marginesie zaś krytycznych uwag o warszawskich balach zamieścił taką relację w „Chwili obecnej”:

Od czasu jak w jednym znakomitym mieście naszego kraju, mianowicie w Lukowie (...) lokaj, zamiatający na dru-

gi dzień się bałową, znalezł zgubiony frak, wyraźnie: frak! — od tej, powiadam, pamiętnej chwili nie warto się dziwić nikomu.

Ale nie Luków i nie tylko Burzec stał się obiektem czulej pamięci wielkiego realisty. Z uwagą i troską nachylił się on nad całym regionem lukowskim.

Lata dziesięć — mówił do Gawalewicz — spędziłem na wsi. Jeździłem bluzę jeszcze na wies (...) i dlatego tak dobrze poznałem lud i język ludowy. Pierwsze zaś moje wrażenia wsi i przyrody przywiązały mnie też do ziemi i ludu.

A wrażenia te pisarz przedstawił po mistrzowsku w nowelach o tematyce chłopskiej. Przedtem jeszcze jako dziennikarz i autor „Humoresek” wspominał o nędzy wiosek lukowskich, o bezradnych wójtach, o ziemianach i księżach obojętnych na losy ubogiego ludu, ale zebrany wówczas materiał wykorzystał w pełni dopiero podczas swego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Tu, z dala od kraju, dostrzegł wyraźniej — w porównaniu z farmami kalifornijskimi — marazm i biedę polskich wsi. Dlatego właśnie stały mu się one bliższe i droższe i tym większą budziły nostalgię. Ale niech pisarz mówi sam za siebie:

Zaczęłam myśleć o kraju, o tym, co w nim zostało i co zmieniło się z biegiem czasu (...). W głowie roit mi się coraz gęstszy tłum widzeń, złożonych wyłącznie z wspomnień (...). Było w nich dużo smutku a nawet i gorzkości, wynikającej z porównania ospatego i bezradnego życia naszej wsi z bujnym życiem amerykańskim. Ale im bardziej wydawało mi się nasze bezradnym i ospałym tym (...) było mi droższe i tym więcej tęskniłam za nim.

W tygodniu zaś później (...) zastąpiłem w swoim aliterze — i spod pióra wyszły mi następujące słowa: „We wsi Barania Głowa, w kancelarii wójtów gminy, cicho było. Jak kłakiem śiał...”

Jest w „Szkicach węglem” — obok sytuacji i scen zmyślonych — sporo materiału autentycznego. Zresztą Sienkiewicz sam zaznaczył, że pracy jego nad „Szkicami węglem” towarzyszył tłum widzeń, złożonych wyłącznie ze wspomnień. Wiele tych wspomnień zgromadził pisarz odwiedzając lukowskie dwory i wsie, gdzie w ciągu dziesięciu lat po uwłaszczeniu przyjrzał się trudnej sytuacji ludu, stanowiowi ziemian wobec sprawy chłopskiej, ustrojowi gminy, lawnikom i wójtom. Do tego okresu odnosi się taka relacja Sienkiewicza:

Słyszałem np. o paszporcie wydanym przez wójtów (było to za czasów, kiedy paszporty wydawali jeszcze wójtów), który brzmiał tak: „Nasza Jasnie pani chce jechać do Warszawy — co jej ta przeszkadza? — niech se ta jedzie. Franciszek Burak”.

Sam widziałem — kontynuuje Sienkiewicz — list jednego wójta do drugiego kończący się w następujący sposób: „bo jak nie przysięgnie na czas tego zbierania, to wam pan N. da po karku, czego sobie i wam życzę. Amen”.

I oto wójt ze „Szkiców węglem” nazywa się Franciszek Burak, jego zaś list do wójta innej gminy kończy się takim zdaniem: bo jak tego

nie zrobiła, to dostanieta po łbie, czego sobie i wam życzę. Amen.

Związków tej „popiel barania-głowskiej” z regionem lukowskim można by jeszcze szukać w konstrukcji losu bohaterów chłopskich. Zawarta bowiem w autografie (a pominięta w tekście ocenzonej relacji) o panu Zofickiewiczu jako o denuncjancie i szantażystę po klęsce powstania styczniowego wyjaśnia — jak pisze prof. Krzyżanowski — dlaczego w sieci tego pajęka znalazł się wójt Burak i nieszczyśny Rzepa; obaj w pewnej mierze pomagali powstańcom. Zresztą nie tylko oni jedni. Z relacji tej wynika również, że wielu mieszkańców „powiatu osłowieckiego” sprzyjało ruchowi wyzwoleńcemu, a tak rzecz się miała właśnie w Lukowskim, gdzie lud wspierał czynnie powstanie styczniowe.

W opowieść o Janku Muzykancie wprowadził pisarz także realia burzeckie. Oto chłopskie dziecko czołga się ku skrzypcom bluszczącym w oknie dworskiej oficyny. Czołga się po lupuchach w ogrodzie dworskim nad stawem.

Ten skróty przegląd związków Sienkiewicza z Ziemią Lukowską nie wyczerpuje — rzecz jasna — tematu. Z pewnością znalazłyby się swolście przetworzone jeszcze inne motywy i spostrzeżenia wywodzące się z życia regionu lukowskiego i świadczące o głębokim przywiązaniu pisarza do ziemi i ludu, ku którym kierował uwagę czytelników. Toteż do tej ziemi, do ziemi rodzinnej chyba można odnieść to, co Sienkiewicz wyraził w jednym z listów pisanych z oceanem:

Siedzę na pokładzie, bo mi się nie chce iść spać (...). Powoli przychodzi mi na myśl kraj rodzinny. U nas teraz zima, robi się właśnie ranek, może

Bohdan Zadura

W krajobrazie z amfor

gdzie jesteś — Anno — w krajobrazie z amfor
twój ślad rozwiędła szybkoconie wiatry
jak zapach gorzkich jałowców i tarnin
gdziekolwiek jesteś — wiatry więją stamtąd

krystalne ciszy — w bursztynie miłeczenia
śladem jest pustą szczyliną powietrza
śladem po słońcu jakby sól słoneczna
trawila bursztyn i w sól się przemienia

najodleglejsi są najbardziej wierni
długie za nami rzucają spojżenia
i tak poważni jak kobiety w czerni

patrzą za nami po kres horyzontu —
kochanko burzy i matko miłeczenia
latarnio morska pływających portów.

le ciężko i nam, i innym w tej
nowej [porewolucyjnej] Polsce.

Klerykalizm zalewa, a rząd teraz
znów cisnie.

Szczerze przyjazna
C. Zeromska

Córka to Henryka Rodkiewiczówna, późniejsza Janowa Witkiewiczowa, córka Oktawii Zeromskiej z pierwszego małżeństwa. Józio — synek Feldmanów.

Szanowny Panie!
(...) Ochrona kosztowała 7 tys. rubli. A z książki „Na nową szkołę” było dotąd 100 r[ubli] wyrażnie: sto. Dlatego, że Gebethner nie chce się nią zająć i nie możemy go zmusić. Ale może teraz koło B[ogusława] N[arodzenia] weźmie się do tego. Cieszę się, że klisze [ilustracji „Ech leśnych”] są u Pana, zawiadomię go o tym — Gebethnera, to on zabierze. Nie wiem, czy to prawda, ale księgarze dowodzą, że teraz książki nie idą — wobec tego bieda dla literatów. (...)

O. Zeromska
(Warszawa) d. 5/XI 1907 r.

[Nowy Sącz] d. 3 maja 1910
Szanowny Panie Redaktorze!

Siedzę tutaj od paru dni, a jadę stąd na dłużej do Zakopanego. Sniem prosić o przysłanie mi post-restante owych rękopisów wielkopisarskich, które nadesłano do księgi zbiorowej, oraz samej książki, o ile oczywiście wyszła?

Łączę wyrazy szacunku
S. Zeromski

Wśród korespondencji Feldmanów zachowały się dwa jeszcze autografy pisarza pośrednio jednak związane już z Feldmanami. Wcześniejszy chronologią list do nie ustalonego adresata wiąże się ściśle z koncertem, zorganizowanym na te-

niem, ale różowy ranek. Wioski zastępne śniegiem; dachy białe, sine dymy z kominów wznoszą się prosto ku górze; po ogrodach galezie zasnuwają szronem rysują się nieregularnie i milcząco; przed chatkami skrzypka zamazuje zuzawia studziennę, a stada wron ipotaniem skrzydeł i zwykłym „kral kral” budzą tych, co jeszcze śpią. Obrzą znany wam dobrze, się znał brzegu drugiego oceanu patrzy się nań przez ów wiersz Mickiewiczowski:
...ty jesteś jak zdrowie...

PRZYPISY

1. Opis Burca z czasów Sienkiewicza opieram na Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego (t. II, s. 447) i na wspomnieniach J. Waydel-Dmochowskiej Sienkiewicz i inni.
2. Waydel-Dmochowska J.: Ibidem.
3. „Ksiądz Marczewski (...) być może (...) wciągnął mnie do lekcji, których udzielał krewnym moim, Dmochowski. Pamiętam go doskonale, gdyż nieraz rodzice moi odwiedzali Burzec a i Dmochowsy przyjeżdżali czasem do nas”. List do Adolfa Pleiszynskiego z dn. 13.3.1896 r. (H. Sienkiewicz — Dzieła t. LVI, s. 42).
4. „Chłopiec, który posłużył za wzór Selima, poległ w 63 roku jako powstaniec. Pisałem nawet o tym powieść pod tytułem Selim Mirza, ale ponieważ cenzura ówczesna nie pozwoliłaby na żadną wzmiankę o powstaniu, musiałem uśmiercić Selima w 1870 r. w czasie wojny prusko-francuskiej”. J. Krzyżanowski — Kalendarz życia i twórczości Henryka Sienkiewicza, s. 57).
5. Opieram się na informacji synowej pisarza p. Zofii Sienkiewiczowej.
6. Według informacji p. Zofii Sienkiewiczowej.

się na druk 4000 egzemplarzy (cztery tysiące) tym bardziej, że księgarnia Gebethnera i Wolffa weźmie je na skład i obiecuje forsować.

Wobec tego niech Szanowny Pan także forsownie drukować. Witkiewicz Jan nadesłał kliszę do okładziny [!]. Układ autorów niech Pan zechce sam ułożyć, — a o korekcie uniecham prosić. Ja sam 15 kwietnia chciałbym być już w Warszawie i pysznie by było, gdyby już wówczas ta książka w świat poszła! (...)

Na książkę zbiorowej, na odwrotnej stronie tytułu musi być inskrypcja: „Dochód ze sprzedaży przeznaczony na pokrycie kosztów budowy wzorowej szkoły-ochrony wiejskiej w Nałęczowie, zostającej pod egidą „Światła” Lubelskiego Stowarzyszenia dla Szerzenia Oświaty”.

Cieszymy się z Zoną i Adasiem nadzieją przedkiego tutaj zobaczenia Państwa. Proszę tylko dać znać

wcześniej, żebyśmy mogli wysłać potrzebne informacje, które tu są niezbędne, co do Neapolu szczególnie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i pozdrowienia od nas wszystkich
S. Zeromski

[Nałęczów, czerwiec (?) 1907

Szanowny Panie!

W lipcu będzie przejeżdżała przez Kraków moja córka, to zabierz kuferek, proszę tylko wytłumaczyć stróżowi, żeby wydał wraz z kluczykiem. Bardzo przepraszam za kłopot.

Serdeczne pozdrowienia dla Obojga Państwa i Józia od nas wszystkich.

Siedzimy w Nałęczowie — zakład leczniczy koło Lublina. Moc pieniędzy pochłania wyłącznie ochronny, a książki „Na nową szkołę” nie można przeprowadzić przez cenzurę i jest z tym bieda. W ogó-



Nałęczów. Willa „Oktawia”

Fot. Janusz Urban

fartuchach. Dla biednych są stragany, niedzne budy jarmarczne, stoły sklecone z niebeblowanych desek, albo ciepła, czerwonoruda ziemia służąca za ladę. Albo miednica, w której mieści się wszystkie towary ulicznej sprzedawczyni. Czasem ta miednica jest z polski.

Białe-czarne śródmieście, które wcale nie leży w środku miasta, otaczają dzielnice murzyńskie z gliny, drzewa i blachy, o wąskich ulicach bez chodników. Tu cywilizacja przypomina się tylko sygnalizacją świetlną, zainstalowaną na najbardziej nieprawdopodobnych skrzyżowaniach. W śródmieściu mieszkają bogaci czarni, ale poza śródmieściem nie ma białych.

Hotel „Ivoire” ma osiemnaście pięter, jest ostatnim słowem architektury, techniki i plastyki. Przy budowie wykorzystano naturalne kolory kamieni. Zbudowała go prywatna spółka izraelsko-zachodnoniemiecka. Kaci ze swoimi ofiarami spręgli się, aby na Wybrzeżu zrobić pieniądze. Stąd widać szerokie bulwary, ronda, rozsiane w gesty zieleni drapacze chmur. Na tarasie kawiarnie i restauracje, niżej basen, w którym kąpią się biali chłopcy. Czarni przyglądają się im melancholijnie. Obok kregielnia, sala gimnastyczna, korty tenisowe. Tymi obiektami zarządza w imieniu spółki pan G. Mówi, że najniższy dochód z samej tylko kregielni wynosi dziennie 500 dolarów.

W hotelu szklane drzwi mają kłamki z kości słoniowej. Czarny portier w kolorowej liberii otwiera je przed amerykańskimi turystami, angielskimi, francuskimi albo zachodnoniemieckimi urzędnikami, którzy przyjeżdżają tutaj służbowo na inspekcję swych firm. Albo przed dyplomatami. W Abidżanie jest trzydzieści ambasad i dwanaście konsulatów. Zjemy w wieku nieustannych wizyt dyplomatycznych, konsultacji, konferencji. Tu odbył się jeden z kongresów Pen Clubu.

Jestem na kolacji u dyrektora P. — Jak układa się współzycie pomiędzy białymi i czarnymi?

— Niech oni się cieszą, że nie są głodni — mówi żona pana P.

To „niech oni się cieszą” słyszałem w Afryce wielokrotnie. Słyszę to jeszcze .raz w luksusowym salonie na trzecim piętrze nowoczesnego domu. Przez okiennice zagłada palma rosnąca w wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcu. Gdzieś bardzo nisko układa się do snu Murzyn. Obok głowy położył tranzytorowy odbiornik. Całe jego bogactwo. Został już na zawsze porażony cywilizacją jak trądem.

— Rząd, przynajmniej w Abidżanie, rozwiązał sytuację materialną najbiedniejszych. Podstawowe produkty: ryż, masło, cukier, ryby i chleb są bardzo tanie. Zwłaszcza masło jest bardzo tanie, tańsze niż we Francji. A oni, proszę pana, dużo nie jedzą.

Później, jeżdżąc z państwem P. po murzyńskich dzielnicach, przekonałem się, że na Wybrzeżu istotnie rozwiązano problem mieszkaniowy. Bezdumni śpią po prostu na schodach, na ziemi, pod murami, pod czarnym afrykańskim niebem bez gwiazd. Jeżeli pada deszcz wsuwają się pod daszki z blachy lub liści. Dziękuję ci, Boże — modlą się — że w Abidżanie biali zbudowali najpiękniejsze hotele na świecie. Najbardziej dziękuję ci jednak, że zbudowali ten kamienny próg, na którym mogą położyć na noc swoje kości.

Praca fizyczna jest w Afryce bardzo tania, wszędzie dużo rąk do pracy i można przebierać. W firmie, w której pan P. jest jednym z zastępców dyrektora, początkujący robotnik zarabia od 12 do 14 tysięcy franków, po latach dojdzie do 18 tys. Pan P. zarabia ćwierć miliona franków. Jego służbowy kierowca 15 tys., bo tu kierowca to nie zawód. Każdy biały umie prowadzić wóz i każdy bogaty czarny też. Wyształeni Murzyni w europejskich firmach przeciętnie zarabiają jedną trzecią tego, co biali.

gaci czarni posyłają swoje dzieci do prywatnych, gdzie poziom nauczania jest bardzo wysoki, ale nauka drogo kosztuje. Za kształcenie dwu synów państwo P. płaci tyle, ile zarabia ich kierowca. On zaś posyła swoje dzieci do szkoły państwowej, dla biednych, na kilku klasach skończą swoją edukację. Dzieci kierowcy i tak są szczęściarzami. Urodzili się w Abidżanie, gdzie na dziesięcioro dzieci murzyńskich dziesięcioro chodzi do szkoły. W niektórych rejonach Wybrzeża na dziesięcioro dzieci uczy się pisać i

wonymi kulami”. Pod niskim sufitem z bambusowej trzciny kręcił się wiatrak. Na ścianach maski. W lech oczodolach czerwone żarówki. Muzykanci dmą w saksofony, śpiewnik niskim, ochrypłym głosem krzyczy do mikrofonu po francusku o pięknym Paryżu. Abidżan jest piękny, ale Paryż jeszcze piękniejszy. Obok stóp muzyków porzucone tam-tamy. Są już niepotrzebne jak u nas dudę lub kobzy. Współczesność bawi się przy saksofonie i perkusji. Tańczą dwie pary białe i jedna czarna. Jesteśmy w dzielnicy murzyń-

skości w rzeczywistości, łączą się w siebie w swej wyobraźni. Człowiek w sztuce stał się podzielony świat. Flora nie zapładnia wyobraźni, może dlatego, że znajdowała się zbyt blisko człowieka. Cywilizacja Europy rozwijała się w walce z przyrodą, cywilizacja Afryki wielbiła sojusznika w naturze. W rzeźbie, którą oglądam, kobieta została sprowadzona do głowy — słońca, długiej szyi porzuconej rowkami od obręczy, piersi i pępka. A wódz plemienia — do ogromnej głowy na ciężkiej brzołwie tułowia. Tylko ona, głowa, była mu potrzebna do rządzenia.

Sztuka zachodniej Afryki posiada dwu wrogów: Europejczyków, którzy dokładnie spłądowali Czarny Ląd i wywieźli stąd wszystko, co się wywieźć dało. I korniki, bo kultura Afryki zaklęta jest w drewnie.

Z Abidżanu wypływalimy w sobotę. Miasto paliło się już tysiącami świateł. Niedziela w porcie to strata dla statku i marynarzy. Statek tylko wtedy zarabia, kiedy płynie. W soboty w portach obserwujemy się najszybsze tempo, największy wysiłek: solidarność ludzi morza bez względu na kolor skóry.

Właśnie w owo sobotnie popołudnie poszedłem jeszcze raz do Abidżanu, aby utrwalić w pamięci to, co już widziałem. Plac Republiki, z jednej strony otwarty na most nad laguną, z drugiej zamknięty jest dużymi, nowoczesnymi budynkami. Jeden z nich to imponujący w wystroju zewnętrznym urząd prezydenta, którym od jest Felix Houphouët-Boigny. W dzielnicy willowej jego pałacyk też góruje nad innymi pałacami jak statek nad kutrami. Zanim Houphouët-Boigny został władcą Wybrzeża, był (i jest) właścicielem plantacji kawy, a od 1945 r. liderem partii, zrzeszającej takich samych jak on wielkich plantatorów oraz bogatych kupców i inteligencję. Po powstaniu republiki arystokraci rodowo-plemienni i właściciele ogromnych posiadłości zostali politycznymi przywódcami kraju. Pan P. powiada o prezydencie, że jest bardziej francuski niż Francuzi.

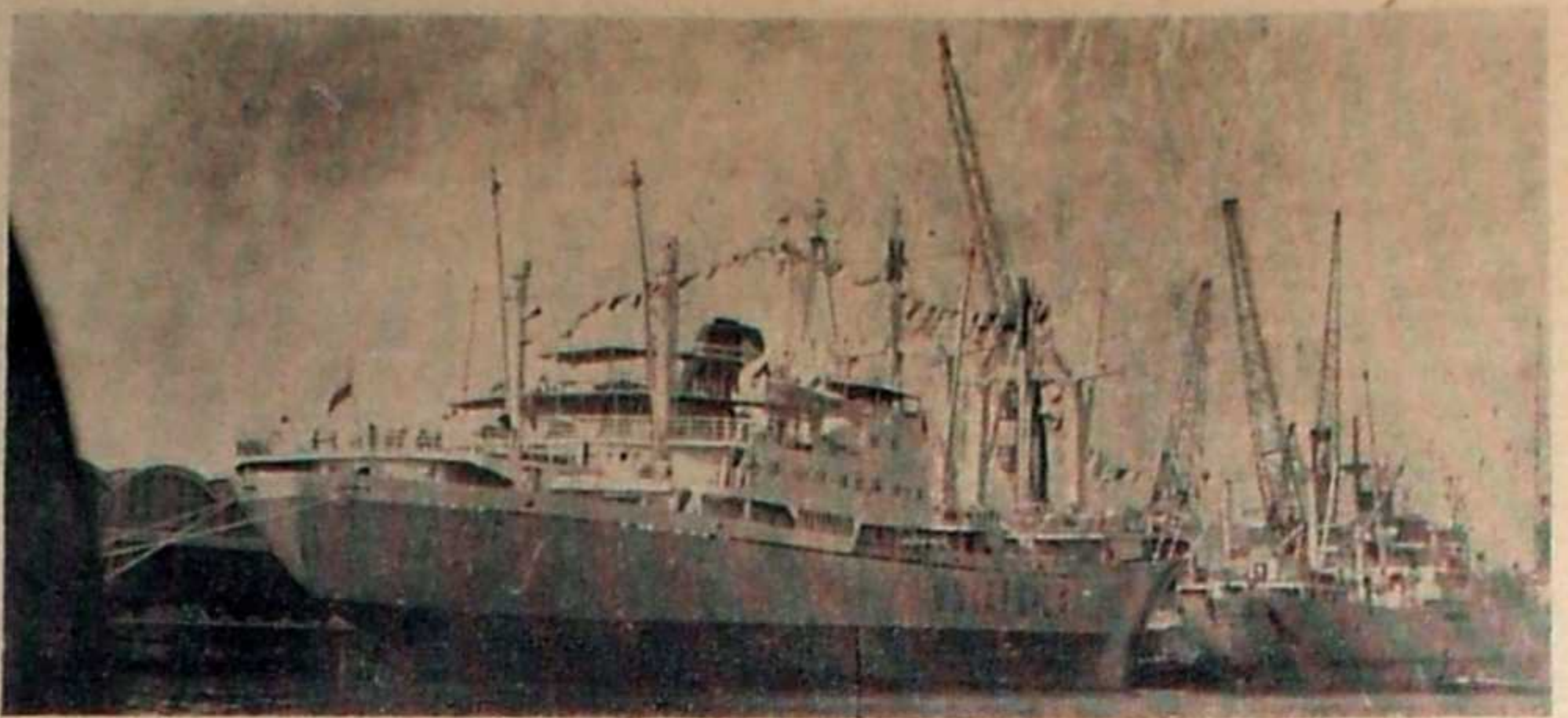
Najbardziej denerwujący był powrót przez most nad laguną. Ma podobno trzysta metrów długości. Wydawało mi się wtedy, że się nigdy nie skończy. Pośrodku szeroką jezdnią pędziły tabuny samochodów różnych marek i różnego luksusu: to bogaty Abidżan wyjeżdżał na odpoczynek. Po drugiej stronie motocykliści i rowerzyści. Po tej co ja — piesi, którzy po pracy w zakładach samochodowych „Renault” spieszyli do domów. Obok nich robotnicy z portu. Setki czarnych i ja jeden jak występki naprzeciw nim. Patrzyli na mnie ze zdumieniem jakbym siedział nago. Byłem jedynym białym w Abidżanie, który siedział pieszo. Miałem wrażenie, że podeszłem do mnie jakiś policjant i każe mi zapłacić mandat za nieprzebranie przepisów. A nie miałem już ani jednego franka.

W Abidżanie jest kino „Liberté” (Wolność). Jest dziennik „Fraternité” (Braterstwo), „Egalité” (Równość) znalazłem na drugim, pięknym moście nad laguną Ebrie. Egalité tych, którzy jechali luksusowymi samochodami, i egalité tych, którzy szli bosą. I na tym moście zrozumiałem, że ludzi nie dzieli kolor skóry, tylko pieniądze.

Wieczorem „Lublin” wziął kurs na Theme.

Janusz Koniusz

Z „Lublinem“ w Abidżanie



Statek „Lublin”

Fot. W. Wójcikowski

— Nikt ich, proszę pana, nie nauczył pracować — mówi pan P. — My mamy poza sobą tysiąc lat cywilizacji albo nawet więcej. Aby żyć musieliśmy pracować, siać, orać — tu zawsze rosły banany. Musieliśmy się ubierać, aby nie zamarać — tu zawsze było ciepło. Musieliśmy gdzieś mieszkać, żeby śnieg nas nie zasypał — tu można spać pod palmą. Praca stworzyła człowieka.

— Pamięta pan Engelsa?

— Dopiero tutaj zrozumiałem, że praca stworzyła człowieka. Oni są fizycznie słabi. Od pokoleń niedożywieni. Oczywiście zdarzają się wyjątki. Mówię o przeciętnych.

— Jak oni pana traktują? Nie jako szefa, jako białego?

— Więdną, że nie jestem Francuzem. I to jest najważniejsze. Mają do mnie z tego powodu trochę więcej zaufania. Oni tutaj, mówię nie o wszystkich, nie lubią Francuzów.

— Francuzi zbudowali Abidżan, a oni nie lubią Francuzów? Z wdzięczności nie lubią?

— Żeby pan wiedział. Wdzięczność rodzi kompleks. Kompleks nieważności. To jest wdzięczność siostrzeńca, któremu ciotka zapisała majątek. I teraz siostrzeniec czeka na śmierć ciotki. Chętnie by jej gardło poderżnął, albo udusił. Ciotka jest zdrowa i będzie długo żyć. I jeszcze każe siostrzeńcowi przed snem drapać się w piętę. Oni czekają, kiedy my stąd wyjedziemy. To musi kiedyś nastąpić. To jest nieuchronne.

Na Wybrzeżu są szkoły państwowe, prywatne i misyjne. Biali i bo-

czytają tylko jedno. Ile z nich trafi na piękny abidżański uniwersytet? Pan P. mówi, że jego dzieci w szkole dowiadują się, iż pierwszymi ludźmi na ziemi byli czarni.

— Adam i Ewa byli czarni, pomyśl pan, tylko diabeł był biały.

— Pani P. pokazuje zdjęcia, jakie robią nauczyciele i dzieci we wszystkich szkołach na świecie. W tej klasie uczy się sześcioro dzieci białych i dziesięcioro czarnych. Jeszcze stoją razem, jeszcze siedzą obok siebie, wierząc jedni w białego, drudzy w czarnego diabła. Po kilku latach ich drogi rozejdą się, bo jedni mają poza sobą wieki cywilizacji, a drudzy dopiero niedawno wyszli z dżungli. Tylko pieniądze będą ich łączyły. A może jednak coś więcej, czego pan P. nie może dzisiaj przewidzieć?

Jeżeli nocą Afryka arabska ożywa się, jest głośna i kłóliwa, to Afryka murzyńska śpi. Przed kinem „Liberté” straganiarze smażą ryby. Za chwilę wyjdą widzowie z ostatniego seansu i będą głodni. Dookoła kina nowe bloki dla urzędników. Po nielicznych samochodach, które mokną na deszczu, można zorientować się, że daleko ich właścicielom do elity. Pan P. powiada, że wkrótce staną się konkurentami dla białych. Zastąpią ich w szkołach, szpitalach, biurach firmach. Afrykanizacja Afryki jest procesem długim, ale nieuchronnym.

Za żaluzjami gra orkiestra i trwa zabawa. Jak we wszystkich wielkich miastach, kiedy przychodzi noc. Kafajka nazywa się „Pod czer-

skiej, gdzie biali nie mieszkają, ale dokąd przyjeżdżają samochodami. Szukają Afryki.

Pan P. tańczy ze swoją żoną. Proszę na parkiet siedzącą obok mnie Murzynkę. Za ladą wśród barmanek konsternacja.

— Tu nie ma zwyczaju, żeby do tańca biały prosił czarną — mówi później pani P., która mieszka w Abidżanie kilka lat i dobrze zna tujsze obyczaje.

Nazajutrz, korzystając z uprzejmości kapitana „Lublina”, samochodem armatora jadę do muzeum. Muzea afrykańskie to przede wszystkim muzea rzeźby, bo sztuka Afryki to rzeźba. Malarstwo prezentowane jest rzadziej. Muzeum w Abidżanie eksponuje sztukę w drewnie i kości słoniowej. Maski, figurki, narzędzia pracy, insygnia władzy, instrumenty muzyczne. Jest to sztuka wyrosła z kultu przodków, z magii, z wiary w świat niedostępny ludziom, z religii. Świat pozagrobowy czuwa nad światem żywych. Ci, co odeszli, są silni, dlatego maski mają kły, rogi i zęby. Jak zwierzęta. Wszystko wiedzą. Maski mają wyłupiaste oczy. Maski chroniła człowieka przed złem.

Sztuka w Afryce wyobraża także boga i bożka, człowieka i zwierzę. Artyści łączą człowieka z lwem, człowieka z rybą, człowieka z ptakiem. Albo zwierzęta ze zwierzętami: krokodyl ma kły słonia, a słoń paszczekę krokodyla. Wszystko, co fruwało, pływało i biegało, co było silne i sprytnie, stanowiło przedmiot zazdrości i uwielbienia człowieka. Niedostępne i odległe od

Książka o teatrze walczącym

Zdzisław Jastrzębski

STARALEM się już zwracać uwagę na to, że opinia, jakoby w okresie okupacji hitlerowskiej zamarło życie kulturalne, nie odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy. Opinię taką tłumaczy wszakże mała dostępność dokumentów tego życia (konspiracyjność) i brak pełniejszych opracowań o charakterze przede wszystkim informacyjnym. Ale już „Centralny katalog polskiej prasy konspiracyjnej 1939—1944” Ludwika Dobroszyckiego czy „Antologia polskiej poezji podziemnej” i wydanie Baczynskiego mogły zorientować o bogactwie i rozmiarach tego życia.

Obecnie otrzymaliśmy książkę, która w zakresie jednej dziedziny daje możliwie pełny obraz działalności kulturalnej w czasie wojny. Myślę o prawie 400-stronicowym tomie Stanisława Marczyka-Oborskiego „Teatr czasu wojny”, wydanym przez PIW. Autor, sam uczestnik życia teatralnego w czasie wojny, dziś znany teatrolog, mógł śmiało napisać po przedstawieniu różnych form teatralnych i osiągnięciu tego czasu: *Za wiele tego było, zbyt wielu uczestników i pamiętnikarzy — do świadectwo waży tych przeżyć —*

aby móc kiedykolwiek przejść nad tym do porządku. I dalej: *Teatrzyki żołnierskie, więzińskie i konspiracyjne były bardzo ubogie w decorum, nader prymitywne pod względem technicznym — ale grały Arystofanesa, Szekspira i Mickiewicza, proponowały nowe rozwiązania artystyczne, na każdym przedstawieniu wytwarzaly więź między sceną a widownią, o której tylko w wyjątkowych momentach marzyć mogą najbogatsze teatry tego świata (s. 181).*

Książka składa się jakby z dwóch części, z dwu form ujęcia. Najpierw autor referuje chronologicznie rozwój i przebieg życia teatralnego, dając całościowy obraz, następnie szczegółowo omawia i analizuje przejawy teatralne w poszczególnych środowiskach i warunkach. A więc — po przedstawieniu problematyki jawnych teatrzyków rewiowych, narzucanych przez okupanta — autor opowiada szczegółowo o teatrach jenieckich, żołnierskich, obozowych, następnie przechodzi do konspiracyjnych form teatru; najpierw omawia działalność Tajnej Rady Teatralnej, jej rolę kierowniczą i prace teoretyczne, by z kolei skrupulatnie wychwycić wszelkie przejawy życia teatralnego, porządkując je na działy: tajne zespoły studyjne, zawodowe, młodzieżowe artystyczne, amatorskie, teatry szkolne, lalkarskie, lu-

dowe; dołącza też wierszyki poetyckie. Część tę kończy rozdział o oddziaływaniu teatru w warunkach normalnych, na terenach wyzwolonych.

Na część drugą, dokumentacyjną, składa się kalendarium, alfabetyczne zestawienie granych w czasie wojny sztuk, bibliografia teatralna w prasie konspiracyjnej i powstańczej, wreszcie przedruk kilku konspiracyjnych artykułów oraz listów. Całości dopełnia bogaty materiał ikonograficzny. Jak słusznie autor zwraca uwagę we wstępie, *kolejne rozdziały i członki pracy przenikają i uzupełniają się wzajemnie; właśnie w tym powiązaniu mieszczą dopiero pełny materiał.*

Trzeba przyznać, że materiał ten jest rzeczywiście olbrzymi i daje wszechstronny obraz życia teatralnego w czasie zawieruchy i przesładowań, w warunkach, które — wydawałoby się — wykluczają możliwość działalności teatralnej. Dzieło jest wyczerpujące i dalsze prace będą miały już tylko charakter dorzucanych faktów, ot choćby o szopkach w Rumunii. Ale szkoda, że autor zbyt słabo powiązał ostatni rozdział z poprzednimi, to znaczy za mało uwidatnił i rozważył wpływ form teatru wojennego na dalszy rozwój (formy rapsodyczne, odejście od weryzmu...). Kto wie, czy nie warto było poświęcić osobnego miejsca analizie form teatralnych wynikłych z warunków (uwagi są rozrzucone i „mimochodne”), jak popularność szopek, teatrów poezji itd. Może też za dużo na początku ocen epitetowych. Ale te drobne zastrzeżenia nie podważają znaczenia książki.

Stanisław Goszkowski

Wyznanie

na mojej łacie widzenia zielona sarna
twojego oddechu podbiegła pod sam
próg wargi mego domu
puste pokoje oczu i bezruch
błękitnawej zawiesziny rąs
czerniałe deski podniebienia
to wszystko było małą niby
wewnętrzną stroną nieogłędania
twoje nozdrza i okrągłość kopyt
twoja jaśniejąca sierść i szuja
zataczały kręgi przyciągania na łatwość
wyciągniętego wzięcia na jedną
noc przepoconych sapań
do końca do nagości
mówiłaś iskreniem świętojańskich
tylko jednego jelenia
pokochałaś utratą
zwierzęcej przynależności lasu.

Gdańsk

Dionizy Maliszewski

Noże

Nagie ślepe noże
zbudzone na weselu
szukają ciała głodne
spragnione szukają krwi.
Wywane ze szczelin zapomnienia
z żelaznego snu —
rozjuzone w dłoniach pijanych
znaczą swój ślad krzykiem nagłym.

Znow chorągiew czarna
żałobą osłania wieś —
niosą dzwony ciężkie ludzki szloch.

Ukryte noże milczą

Ostrołęka

ZASMOLE

Jan Krzysztofczyk

— Jakub...! Jakub...! — budziła mnie żona. wstawał! Pięta. Spojrzałem na zegarek. — Jechał? — zapytałem. — Przed chwilą. Ubrałem się jak w powszedni dzień. Na nogi włożyłem gumowce. — A może być dzisiaj nie szedł? — powiedziała żona niepewnie. — Odpocząłbyś... Usta miałem zapchane chlebem. Zaczęłem się spieszyć z jego polknięciem, by móc odpowiedzieć żonie, że ma słusność, że to jest cudowna myśl... że mnie właśnie chce się dzisiaj polezakać w sadzie. — Muszę iść — powiedziałem niespodziewanie dla siebie coś innego niż zamierzalem. — Wiesz — szukałem wytłumaczenia, pretekstu — ten Magdziejz to mi się nie podoba. Kręcił się bez przerwy po Zasmolu. — Myślisz, że... — Myślę — przerwałem — że upatruje jakąś sztukę do spuszczenia. Tam przecież są najlepsze drzewa. Pleń w pleń pierwsza klasa. — Meldowałeś w nadleśnictwie? — Nie... nie, po co? To mój rejon. Przeszła trzaskała garnkami i obróciła głowę w moim kierunku, choć nadal była pochylona nad piecem. Wyrozumiła uśmiešek błaski się na jej wargach, a zmrużone oczy zdawały się mówić: „Tyle lat to już trwa, że trudno bym uwierzyła akurat tym razem...”. Wybrałem najkrótszą drogę; przez gęstwinę młodego lasu. Wyciągniętymi do przodu rękami torowałem sobie przejście. Rozgarniałem klujące gałęzie sosenek, odginałem całe drzewka. Dukt leśny powitałem z ulgą. Przeszedłem na drugą stronę, w stary, przestronny las — zwany Zasmolem. Bezwiednie skierowałem się ku rzece. Lekko opadający teren sprzyjał śpiesznemu marszowi. Ani spostrzegłem, gdy znalazłem się na skraju polany, której środkiem płynęła rzeczka. „Jest” — stwierdziłem w myślach, patrząc na obróconego tyłem, skulonego w swym rozkładanym krzeselczku, małego człowieka. Siedział bez ruchu. Wyciągnięta w bok ręka trzymała wędzisko. Czerwony mo-

torower odpoczywał na podnóżkach. Schowałem się przezornie za drzewo. Wiedziałem, że się obejrzy. Obejrzał się. Patrzył na ścianę lasu, na nieopodal rosnący modrzew. Kukulka odezwała się gdzieś blisko. Skrzek wilgi spadł z wysokiej jodły. Zgarbiony rybak powrócił do poprzedniej porzeży, do śledzenia aptawika. Skoczyłem w gęstwinę. Gwar wycieczkowiczów stopniowo wypełniał las, śpiewy i śmiechy towarzyszyły zbierającym jagody. Włóczyłem się bez celu po Zasmolu. Pownowicie znalazłem się na polance, tym razem po drugiej stronie rzeki. W pobliżu czerwonego motoroweru stał zaparkowany auto-kar. Kilku młodzieńców, odzianych w różnokolorowe spodnie kąpielowe, grało w piłkę. Stateczniej rozsiadli się na kocach. — Halo! Panie leśniczy! — zawołał któryś z siedzących, kiedy mijalem most. — Prosimy do nas. Szedłem wzdłuż rzeki. Ponad głowami wołających patrzyłem na rybaka. Nie spojrzał na mnie. Zajęty był spławikiem. — To w niedzielę też pan pracuje? — usłyszałem zdziwiony głos jednej z niewiast. — Tak, proszę pani. Krótko ostrzyżony blondyn w średnim wieku poprosił bym usiadł przy nim i podał mi zakrętkę od termosu. — Gorzka angielska. Rąbnij pan na zdrowie — zaproponował i podsunął bliżej kanapki z szynką. Nie lubiłem tej wódki. Szynka za to była doskonała. Zakrętka wędrowała z rąk do rąk. Kobieta nie pomijała. Starszy, gruby jegomość włączył radio. Muzyka popłynęła całą siłą tranzystorów. Spojrzałem przez ramie na siedzącego na składanym krzeselczku. Wydawał się bardziej zgarbiony, bardziej zajęty spławikiem. — Wypił pan od kierownika, teraz niech pan ode mnie wypije. Na drugą nogę — powiedziała druga kobieta. — O, Rysiek z Bogdanem wracają — oznajmił kierownik, patrząc ponad moją głowę. Skręciłem tułów. Idący od lasu młodzieńcy zblizali się z uśmiechem do trzymającego wędzisko. — Niech pan zgasi radio — poprosiłem otyłego mężczyznę. Dwaj młodzieńcy stanęli za plecami wędzarkarza. — Bierze? — zapytał jeden z nich. Wędzkarz zmieszał się, skulił jeszcze bardziej. — A co? — No, ryby. O nich przecież mowa. — Nie. Nie, panowie, nie biorą — odpowiedział wyekniiony. Jeden z nich podszedł bliżej, do samej rzeki.

— Bogdan! — powiedział śmiejąc się — aż tu wody do kostek. Jak tu może być ryba? — Ten pan może przyjechał na kijanki, skąd wiesz? — Tak, panie? — chciał się upewnić. — Ja bardzo przepraszam... panowie, naprawde... — Ależ panie! Kijanki to mój przysmak... Zaczekaj pan! Zaraz panu pomogę je łapać — i zostawiając Bogdana nad rzeką pobiegł w las. Towarzystwo było ubawione. Odstawiłem wódkę na koc. — Rysiek to stary kawalarz — stwierdziła jedna z kobiet. — Czuję, że tego faceta wyszła odpowiednio — dodała druga. — Musieliby nie być chłopcami z Kielc — uzupełnił kierownik wycieczki. Właściciel motoroweru przekładał wędkę z dłoni do dłoni i spoglądał na pogwizdującego młodzieńca. Na brzegu lasu ukazał się Rysiek. — Co on niesie? — spytał właściciel radia. — Jakiś garnek czy co? — zgadywał ktoś. Rysiek podszedł do rybaka: — Tym kastrolem nalapię panu do cholery kijanek — i zszedł nad wodę. Zgarbiony na krzeselczku człowiek poderwał się na równe nogi. Wędka upadła na murawę. — Panie?! — wykrztusił. — Nie bój się pan nic. Polów musi się udać — i zanurzył hełm w rzece. — Proszę pana... proszę pana! — wołał starszy, czeplając się ubrania Ryska. — Niech pan tego nie robi... niech mi pan to zwróci... bardzo pana proszę. Obiegał trzymającego hełm, wyciągał po niego ręce. Wyższy o głowę młodzieniec wywijał żelazem, ciałem blokował dostęp do hełmu. Wstałem z koca. — Proszę pana, niech mi pan to odda... Woda sikala z hełmu dwiema dziurami, oblewała jego posiadacza. — Pan to odda — powiedziałem podchodząc. — A niby dlaczego? — Pan to odda! — powtórzyłem. Spojrzał na swojego kompana. Tamtem milczał. — Masz pan, co mnie po takim nocniku — i zamachnąwszy się rzucił hełm na środek rzeki. Siwy człowiek skoczył w butach do wody i rozpryskując ją dopadł swój skarb. — Bardzo panom dziękuję... bardzo dziękuję... i panu Jakobowi też — mówił, ocierając rękawem drelichowej marynarki żelazo. Wróciłem po czapkę. Młodzieńcy szli za mną. Bez słowa.

— O co tam chodziło, panie leśniczy? — zapytał kierownik. — O hełm. — Jaki hełm? — zdziwił się. — Zdobyty na szkopach Bechowski. Zapinałem guzik munduru. Nie patrzyłem na nich. — Skąd ty to, Rysiu, wzięłeś? — Znaleźliśmy z Bogdanem grob. — Tam — pokazał ręką na modrzew. — Wstało to — na krzyku. Takim ze zwykłej brzozy, wie pan kierownik... Czy ja wiedziałem, że ten głupek narobił tyle krzyku o ten durnawy nocnik? — Ile pan ma lat? — zapytałem. Nie odpowiadał. Mierzył mnie pogardliwym wzrokiem. — Pytam, ile pan ma lat? — Dwadzieścia. — To był pan w lonie matki, jak on zginął. Miał tyle sarny. — Kto? — zainteresowała się jedna z kobiet. — Jego syn — wskazałem głową na idącego w stronę modrzewia rybaka. Kukulka znów się odezwała. Kucie dzięciola niosło się od lasu. Kierownik podniósł się z trawy. — To znaczy, że... — Tak, panie kierowniku — ubiegłem go. Zginął zimą czterdziestego trzeciego. Pod tym modrzewiem. Dostał z bergmana. W głowę. Słońce przyświecało coraz mocniej. Było duszno. Ptactwo, pochowane w zakamarkach drzew, ledwo dawało o sobie znać. Szedłem duktem. Wierzchołki drzew schodziły się z sobą, tworzyły jak gdyby olbrzymi tunel o zielonych ścianach i takim samym sklepieniu. Byłem w pobliżu domu, gdy dogonił mnie Rysiek. Był zziębnięty. — Proszę pana... ja przepraszam. Patrzyłem na sympatycznego chłopca. Szedł obok, głowę zwiesił na pierś. — To był mój dowódca. Byłem przy jego śmierci. Jedynek... Padł bez słowa. Kula przeszła przez hełm na wylot. — Skąd był? — zapytał nie podnosząc oczu. — Z Kielc. Przyjechał tu w czterdziestym drugim, jak matkę hitlerowcy spalił w krematorium. Zatrzymał się, Stałem naprzeciw. Patrzył mi w oczy. Pierś podnosiła mu się w ciężkim oddechu. — Idę go przeprosić... — Nie! Daj mi dzisiaj spokój, chłopcze. On w przyszłą niedzielę też przyjedzie. O piątą ranę. — Będę na pewno. Muszę tutaj być. Od redakcji: autor tego opowiadania jest nauczycielem we wsi Losien pod Kielcami. Jest to jego debiut literacki.

CAŁE LATO

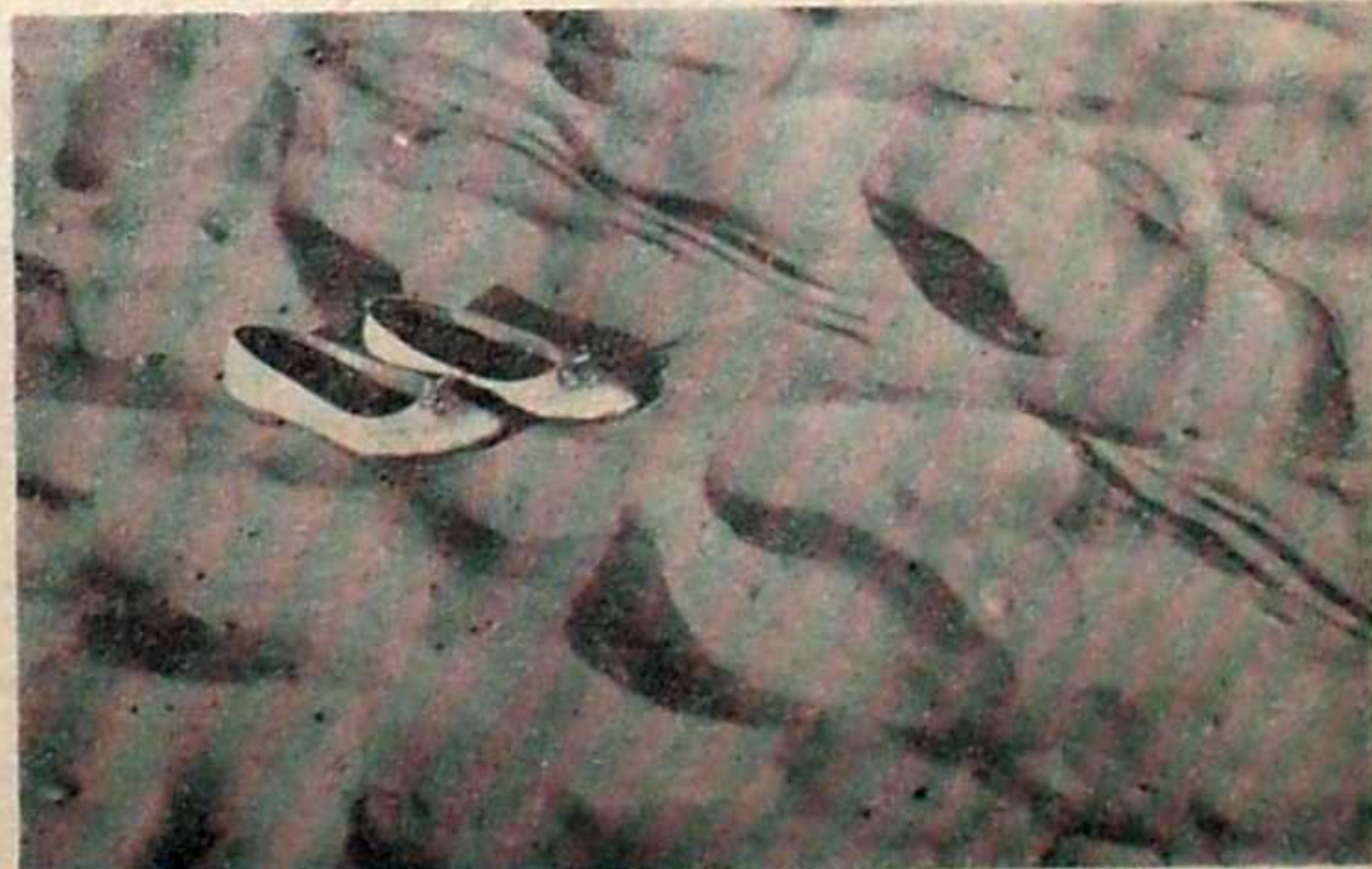
Marek Żenni

W POCZĄTKU lata byłem w dużym mieście i co rano szedłem na przystań. O ósmej otwierałem hangar i wynosiłem koła ratunkowe. Potem pomagałem ustawiać nad stolikami parasole przeciwsłoneczne. To należało do stróża, ale był chuderlawy, a parasole ciężkie. W poniedziałki miałem wolne, ale i tak przychodziłem. Gdzie może być lepiej niż nad rzeką? Była seria błękitnych dni i ludzie wdychali do deszczu jak zwykle przy pogodzie. Wynajmowałem na Targowej pokój z pluskami, które starały się, żebym wcześniej wstawał. — Panie — powiedziałem po kilku dniach właścicielowi — w tym pokoju są pluski i wszy. — Co, wszy? Jakie wszy? — A no, niech pan zobaczy. Weszliśmy do pokoiku, cała rodzina mieszkała w sąsiednim i nie przypuszczałem, że powiem nowinę. Włożył okulary i popatrzył: — Pluski są choroby jedne, powiedział, ale wszy? Tego u mnie nie ma. Był pohafsbiony. Nie chciałem robić przykrości manifestacją i po cichu podsypywałem owady ditoksem. To, co wzięłem za wszy, było małymi pluskami. Miał rację. Ale gryzły jednakowo. Cholernie. Wstawałem rześko o świcie i szedłem do parku. Ławki jeszcze zimne. Rozgrzewałem się z nimi w ostrych promieniach poziomych słońca. Potem miasto zakurzało się i kwiaty handlarzy nie były już beztrookie w wyciągniętych rękach. Również kropki mleka rozlanego wcześniej na asfalcie wałakaly w pył jakby ich nigdy nie było. Co dzień powtarzało się i lubiłem patrzeć na co dzień. Kupowałem mleko i z wielką butlą szedłem na przystań. Poznałem tam parę dziewczyn, które stałe przychodziły. Miały swoje miejsca. Jestem pewien, że dziewczyny, które są tam teraz, mają swoje miejsca. Lubilem patrzeć, jak zajmowały wieczne miejsca tego roku. Sam myślałem, że wieczne. Z wyjątkiem jednej nie podobały mi się, a ona wieczorem był zajęta. Dlatego i ja wieczory miałem zajęte. Nie zapraszałem tamtych do siebie chociaż gospodarze wyjechali. Pluski nie odprowadzili ich na dworzec. Magdalena. Przychodziła ze starszą panią, myślałem,

że z matką. Nie matka, ktoś z rodziny. Lokowały się między wodą, a wzgórzem wklina. Następnego roku nie było ani wzgórze ani wklina. Brzeg inny. — Panie, brzegi się zmieniają — powiedział tamten stary. Woda, panie, zabiera. — Ale chyba przyjemną ma pan pracę — powiedziałem — przy takiej wiecznej rzeczy jak czas. Był z drugiej strony plotu. Wyburzali stare fundamenty. Nad Wisłą miała przebiec nowa autostrada. — Gdzie tam — powiedział — człowiek się narobi... A nie szkoda panu

była ruda, miała plegi i złote włosy. A tamci mówili ruda, tak jakby: lysa. Niech ich szlak trafi. To była równa dziewczyna. Nie umiała całować i mówiła, że nie lubi. Nauczyła i polubiła. Ale to; daj spokój, przestań, przestań, daj spokój, mogło się znudzić. „Chyba oziębła”, myślałem. Następnej niedzieli wyjechała na splyw Dunajcem. „Pozdrowienia ze słonecznego chociaż zimnego Dunajca — Magda”. Przypomniała sobie po miesiącu. Zdziwiłem się tą pocztówką. Poznałem pannę E. D. przez

jąjka kończyła rozmowę z zezowatą. — A wie pani tę przyjemność zrobił jej jakiś chłopak na Dunajcu — powiedziała zezowata. Miała teraz mały zabieg kosmetyczny. Powiedziała, że się wstydzi i poszła do lekarza. — Ktoś chory? — zapytałem współczująco. — A, moja siostrzenica, pan jej nie zna, miała taki kobiecie zabieg kosmetyczny, wie pan... — Aha, powiedziałem, drobny zabieg kosmetyczny, zdarza się. Zszedłem na dół. Nad wodą siedziała Magdalena w wyciągniętej łódce. — Czołem — powiedziałem — co robiłaś całe lato? — Opalałam się. Chodźmy stąd. Nie chciałabym, żeby moja kuzynka zobaczyła cię ze mną. — Jasne. Poszliśmy w górę rzeki. Woda opadła i można było przechodzić między ogrodzeniami, przedtem zanurzonymi. Pamiętałem, jaka była głęboka w jednym miejscu, a teraz był tam zwyczajny dół z ceglami, pogiętymi zbrojeniami betonu i szkłem. — Jeżeli się spieszysz, to idź — powiedziała Magdalena. Nie. — Po prostu nauczyłem się szybko chodzić. — Czy będziesz pracował gdzieś jak to skończysz? — Nie lubię takich pytań. To są pytania długodystansowe. Po co ci to wiedzieć, jeżeli jutro możemy się nie spotkać? — Jasne. Nauczyłam się mówić jasne. — Przyjemnie było na Dunajcu? — Nie nudziłam się. — Do diabła — powiedziałem — przy tobie jestem jakiś inny. — Nie zatrzymujmy się — powiedziała — Magdalena, możesz iść jeszcze dalej. — Jasne — powiedziałem. Będę przychodził do ciebie. — Nie, przez pewien czas wolalabym, żebyś nie przychodził. — Oczywiście, mogę do ciebie w ogóle nie przychodzić. Magdalena stanęła i ze złością widziałem, jak się czerwieni. — Ale tego nie powiedziałem! — Nie, ale nie byłabyś ze mną szczęśliwa. — Ale dlaczego? Zdemaskowałem ją, robiła się coraz bardziej czerwona. — Podobają mi się inne dziewczyny, a przy tobie jestem jakiś dziwny. Może dlatego, że nie działała na mnie. Odszedłem trochę. Magdalena stała. — Ale jesteś bardzo fajną dziewczyną — powiedziałem — naprawdę. — Ty durniu, a ja czekałam na ciebie całe lato. — I miałas małą operację kosmetyczną żeby się pozbyć? — Czego? — zapytała Magdalena. Zbladła i pomyślałem, że rzuci kamieniem. — Miałam przeszczeploną skórę. Oparzyli mi nogę. Zaraz na początku splywu. Czekalam. Ty durniu!



Fot. Janusz Urban

ten czas, a tu wiadomość aha, od tamtej, rudej. Wprawdzie na przystani pracowała jej siostrzenica, zgrabna blondyna, chociaż zezowata, ale nie wypytywałem o Magde, a tamta nie wiedziała, że ją znam. Magdalena mówiła, że nie lubi jej. W końcu lata, gdy wchodziłem na schody E. D., serce tak mi biło, że musiałem odpoczywać. Chociaż nie było wysoko. E. D. też nie była wysoka, ale potrafiła jakoś tak stanąć, że cholernie. Nawet w to uwierzyłem. Miała sto pięćdziesiąt pięć. Dni upalne minęły. Lato wędlo. Ludzie nie przychodzili już nad rzekę, ale ratownicy musieli być, więc byliśmy. Ja przed południem a Leszek po. Wstawałem później, bo pluski wytruły się i szedłem na przystań o dziesiątej. Był tam bufet i zamawiałem jajecznicę na wędzonce a potem jadłem patrząc z tarasu na rzekę. Któregoś dnia bufetowa smażyła

tak się tulać? — Nie, nie szkoda i podniosłem plecak. — Młodego ciągnie. — Jasne — powiedziałem. Z takimi ludźmi zawsze się dogadywałem. Po prostu. Magda miała wspaniałe włosy. — Niech będą zmieszane ze słońcem, wiatrem, deszczem i piaskiem. — Masz poetyckie pragnienia, Magdaleno. Myśląc o tamtej byłem opryskliwy dla innych dziewczyn, co im nie przeszkadzało. Wydawało się, że one jej również. Widząc jej włosy i ją całą długo nie podchodziłem, była obojętna. — Skąd wiedziałeś, że chciałam cię poznać? — To się poznało po oczach — powiedziałem — ale i wtedy nie byłem pewien, czy prawda. — Nie lubię się całować — oznajmiła w poniedziałek, gdy nikogo na plaży nie było oprócz nas i podglądającego stróża. — Ale pan obracał tamtą rudą, panie Wiktorze. „Za głupi, żeby dać w mordę”, pomyślałem. Wcale nie

Nad pamiętnikiem Jana

Ireneusz J. Kamiński



Jan Popka

NIE MAŁ trzy lata temu po raz pierwszy zetknąłem się z grafiką Jana Popka, kiedy to pragnąc poznać skłonności twórcze najmłodszego pokolenia artystów trafiłem do „Dziękanki”, domu akademickiego warszawskich uczelni artystycznych. Pokój zajmowany przez Jana wyróżniał się spośród innych niezwykłym, jak na studenckie upodobania, porządkiem. To celowe, racjonalne rozłożenie przedmiotów kluczyło się jak kość z postacią ich właściciela — rozwichrzoną, zadziorną, impulsywną, w pierwszym kontakcie wykluczającą refleksyjność tej młodej natury. Szybko okazało się przecież, że ład ten jest dziełem innej, życzliwej ręki.

Ale rysunki Jana, które wówczas zobaczyłem, również weryfikowały autentyzm zewnętrznych przejawów jego osobowości, i całe moje zaufanie do Watsona — nie wspólnego z Holmesem! — zostało poważnie nadwyrężone, a teoria behawioryzmu dużo straciła w moich oczach. Jan rysował do siebie, bez emfazy, w skupieniu, bez dramatycznych gestów, pokornie i cierpliwie.

Niewielkie prostokąty papieru pokrywał równoległymi cienkimi, drżącymi liniami, których szerokość była mniejsza od milimetra. Z obsesyjną wytrwałością przygotowywał teren osobistych zwierzeń, do końca czytelnych tylko dla niego. Konstruował kanwę o nikłym, różowizielonym poblasku. I nagle w ten kojący, pełen spokojnej radości ustrój wprowadzał drobne, lecz zdecydowanie zakreślone formy geometryczne: trójkąta, kola, wygięte prostokąta. Swoim zarysem i usytuowaniem odcinały się dość wyraźnie od jednolitego nurtu tła, ale ich treść wewnętrzna całkowicie się z nim identyfikowała. Równoległe kreski posiadały taką samą szerokość, i taką samą przyciszoną barwę.

Pierwsze wrażenie muzyczności rysunków Jana, jakie mi się wówczas nasunęło, otrzymało więc potwierdzenie w analizie ich struktury formalnej, która odpowiada budowie polifonicznej fugi. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że w latach chłopięcych Jan wraz ze starszym bratem obsługiwali wiejskie zabawy i wesela w rodzinnym powiecie hrubieszowskim, jako wirtuoz gry na skrzypcach i akordeonie. Nie przeceniając metody genetycznej badania twórczości, ale i jej nie lekceważąc, podaję ten fakt kierowany kronikarską rzetelnością.

Wtedy też, w studenckim pokoju Jana, widziałem inne rysunki, które, jak to można dziś stwierdzić, zapowiadały jego grafikę i malarstwo. Po raz pierwszy ujawniły zasadniczą cechę mentalności twórczej

tego młodego artysty: skłonność do refleksji, do gromadzenia w obrębie pracy retrospektywnego ciągu faktów i osobistych doświadczeń, wynikających z uczestnictwa w życiu i w tradycji artystycznej.

Te rysunki przywodziły do myśli starych map wojskowych, upstrzonych kółkami stanowisk dowodzenia i łączności, zarysami pozycji oddziałów oczekujących bitwy na różnych wysokościach terenu, którego układ symbolizowały nieregularne kręgi warstw. To przywołanie zaczęło przekształcać się w prowokacyjną parafrazę w momencie, kiedy Jan, chcąc „uautentycznić” swoje „mapy”, zaopatrzył je w niewielkie prostokąty ze znaczkami le-

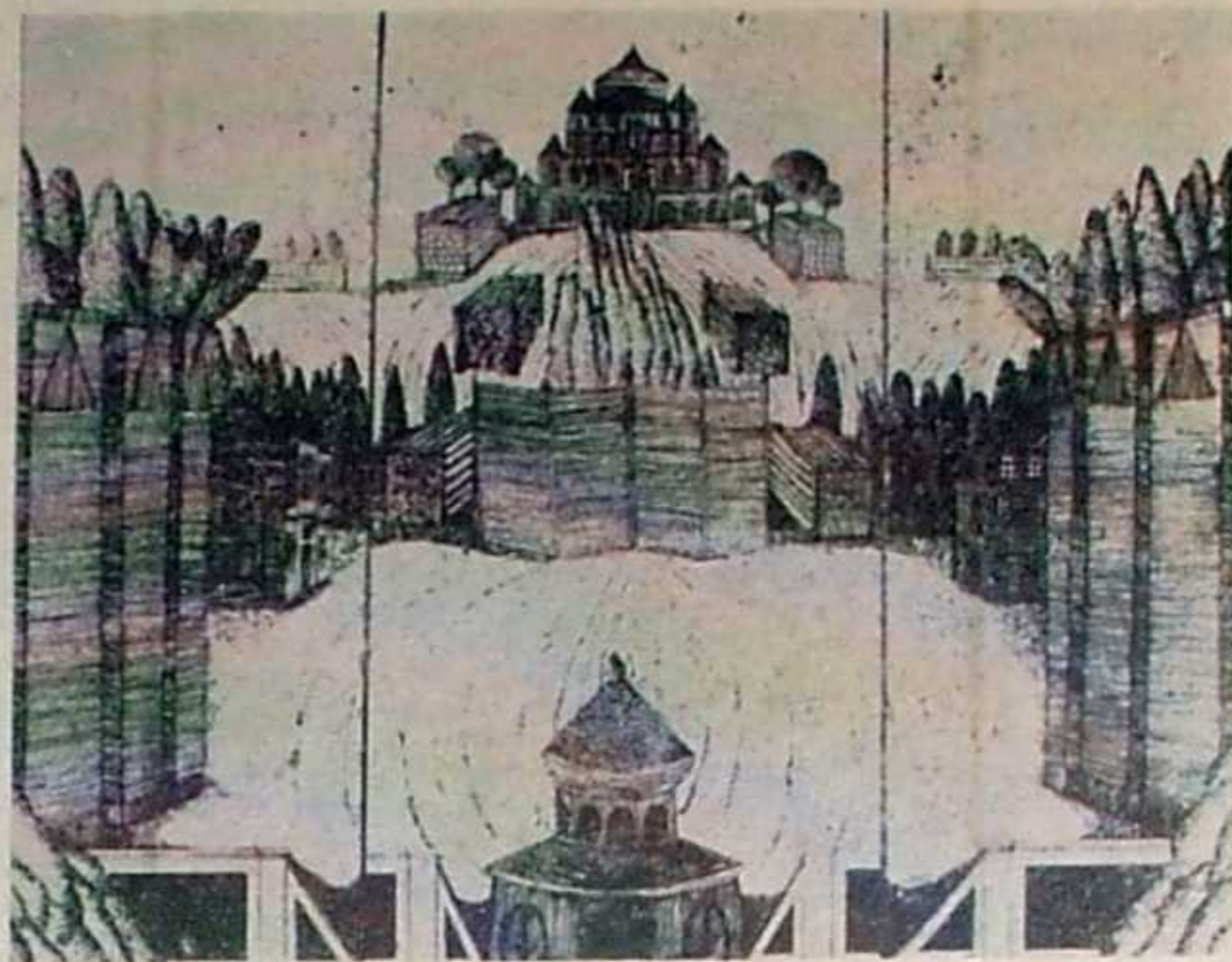
rycznej figuracji, nie pozostawiające wątpliwości co do znakomitego opanowania przez autora warsztatu graficznego, są w gruncie rzeczy zapisem własnej biografii, kształtowanej przez różne zjawiska, nie zawsze realne.

Ponownie występuje refleksja nad sztuką, lecz poza nielicznymi wyjątkami („Grafika oparta na motywach ludowym”, „Melancholia jednej ulicy wg Chirico”) nie pojawia się ona pod postacią parafrazy lub interpretacji plastycznej znanego tematu czy typu sztuki. Kontakt z tradycją i najnowszyimi dylematami sztuki utrwala jest symbolem, aluzją, skrótem plastyczno-myślowym: w kompozycyjnym układzie

odczytać bez pomocy autora. Ale tak to już bywa z pamiętnikami: nie mają tajemnic tylko przed tymi, którzy je pisali, mówią wszystko tylko im właśnie. Dla postronnego widza litera „A” znaczy tyle, co znaczy: pierwszą zgłoskę alfabetu. Janowi natomiast przypomina nie-blahy epizod własnego życia.

Te graficzne zbitki — wielowarstwowe projekcje świadomości autorskiej — nie są jednak tak hermetyczne, jakby się to po ostatnich słowach mogło wydawać. Tłumaczą się bowiem i czynią dostępnymi elementem w sztuce ważniejszym od symboliki, a mianowicie formą plastyczną, owym uniwersalnym językiem, którego donośność jest niewspółmiernie większa od tej, jaką dysponuje język literatury. Jak wspominałem, Jan swobodnie manipuluje wszystkimi narzędziami graficznego warsztatu. Idzie z tym w parze wielka jego inwencja w zakresie rozwiązań formalnych i intuicyjna zdolność nasycaenia powstałych konstrukcji żywą treścią. W rezultacie grafiki Jana zanurzone są w klimacie niejako sumującym i obnażającym zarazem ukryte treści występujących w rycinach symboli i fantasmagorycznych przedmiotów.

Niestety, nie można tego powiedzieć o wszystkich pracach Jana. Np. przywoływanie tradycji artystycznej okazuje się nierzadko zabiegiem mechanicznym, niczym nie uzasadnionym. Przypadkowe dzieło jednolitego obrazu na trzy części, wzorem tryptyków średnio-wiecznych, wypada uznać za dowód oby nie utrwalonej manieri stylizacyjnej. Nie wymagajmy jednak wszystkiego od razu. Jan Popka niecałe dwa lata temu ukończył warszawską Akademię, a roczna praca dydaktyczna w zamojskim Liceum Sztuk Plastycznych — na szczęście już zakończona — na pewno nie sprzyjała pracy twórczej, wymagającej nie tylko odpowiednich warunków fizycznych, ale i ożywego klimatu artystycznego. Machnijmy, w imię szczerości, na regionalne ambicje: taki klimat istnieje albo w dużych, albo w młodych ośrodkach plastyki. Kończąc swój pobyt w Zamościu Jan urządził wystawę rysunków, grafiki i malarstwa. Znalazł się na niej gwasz pt. „Czaszka byka i podwójny portret Jolii”, który przedstawiał m. in. fragmentarycznie ujęte akty kobiece. No i wybuchł w mieście Zamościu, w „perle polskiego renesansu”, skandal nie lada! Interwencje dotarły do najwyższych w powiecie czynników. Domagano się — prym wiodły panie i paniusie — zamknięcia gorszącej wystawy; wśród zabytkowych kamieniczek, bezwstydnie eksponujących na swoich fasadach dorodne piersi herm, rozlegał się zagrobny i zwycięski śmiech ojca Pirożyńskiego. Był to jednak śmiech przedczesny.



Fot. Z. Żugaj

gandy. Ale zarówno znaki te, jak i cała ikonografia rysunków, okazywały się w końcu nieczytelne! Przypominało to sytuację, kiedy widziany z daleka szczyt górski, kojarzący się z profilem ludzkiej twarzy, po bliższym zbadaniu przestaje się w poszarpany granit. Także „mapy” Jana były „tylko” rysunkami, otwierającymi przecież wyobraźnię furtkę w przeszłość — choćby tą ręcznie wypisaną legendą, rozrzuconymi z rzadka, stylizowanymi literami, i spłowiiałym, drażniącym kolorystem. Można by je potraktować jako efekty ciekawej zabawy młodego artysty, jako nie zobowiązujące wprowki, gdyby nie ich dramatyczna sugestia — tak silna, że przysłaniająca stylizacyjno-żartobliwą warstwę rysunków.

Tendencje pamiętnikarskie dochodzą do głosu przede wszystkim w akwafortach i suchorytach Jana. Utrzymane w konwencji metafo-

renesansowego kalendarza zamyka Jan np. fragment znanego obrazu Roy Lichtensteina, przedstawiciela amerykańskiego pop-artu... Obok widnieją miniaturowe pejzaże, litery, ryby, konie z atlasów anatomicznych i butelki alkoholu — wszystko w osobnych klatkach. Doświadczenia malarskie, symbolizowane tu częścią obrazu Lichtensteina, mieszają się z codziennymi przedmiotami, sztuka przenika się z wizerunkami życia codziennego. „Uwielbiam piękno na równi z brzydota” — mówi Jan, a jego twórczość potwierdza te słowa.

Przeplatają się więc w obrębie jego grafik przedmioty i sprawy zbanalizowane z niezwykłymi, jarmarczne amorki i okaleczone akty kobiece z uskrzydłonymi osłami, realność przekształca się w sennie widziadła, a czas przeszły łączy z teraźniejszym. Niejeden z tych symboli i niejedna sytuacja nie dają się

NAZWISKO Kazimierza Szczepańskiego, lubelskiego księgarza i drukarza z pierwszej połowy XIX wieku, nie jest bliżej znane nawet bibliofilom. Żył on i pracował w trudnych warunkach politycznych, kiedy to zwłaszcza produkcja i rozpowszechnianie książek były przez zaborcę mocno krepowane i znajdowały się pod stałym nadzorem policyjnym. Do naszych czasów przetrwało zaledwie kilka rozproszonych po bibliotekach wydawnictw, pochodzących z jego oficyny, oraz katalog księgarni.

Do Lublina Szczepański przybył wraz z rodziną ok. 1800 r. Sześć lat później nabył dwupiętrową kamienicę w Rynku nr 19, a w następnych latach również folwark na Czechowie. Zaraz po przybyciu założył antykwariat i księgarnię. Była to wówczas jedyna stała księgarnia w naszym mieście. Nicco później i w niewielkich rozmiarach prowadził taką działalność Instytut Bibliopolitczny. Poważniejszą konkurencją dla firmy Szczepańskiego stanowiły w latach trzydziestych księgarnia niejakiego Wejnka oraz Lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którą w r. 1828 przejął i prowadził ze znacznym powodzeniem Stanisław Strebjel. Założona w r. 1838 firma Stanisława Arcta z miejsca zdystansowała wszystkie inne istniejące w tym czasie w Lublinie księgarnie — ale to już późniejsza historia.

Największy rozwój księgarni K. Szczepańskiego przypada na lata dwudzieste, gdy Lublin był dużym ośrodkiem życia intelektualnego. Wydany w r. 1821 katalog książek zawiera aż 1468 tytułów, sprzedawanych przez Szczepańskiego. Spotykamy tu książki ze

wszystkich niemal dziedzin życia, najbogatszy wszakże dział stanowiła literatura piękna. W osobne grupy wyodrębniono następujące pod względem wielkości działy wydawnictw, a mianowicie literaturę teatralną oraz druki treści religijnej, na które wtedy był duży popyt. Szczepański był księgarzem z prawdziwego zdarzenia. Przez długi okres on jeden nie łączył handlu

Szczepańskiemu 247 egz. książek „Pamiętka po dobrej matce” i „Wiązanie Helenki” zamienione na „Wiązanie Elżbietki”, a to pod zarzutem bezprawnego przedruku. Liczba przedrukowanych książek była faktycznie większa niż ta, którą znaleziono podczas rewizji. Jeden z warszawskich kramarzy, niejaki Łukasz Harasiński, zeznał w śledztwie, że rozprzedał kilkana-

ostro ściągły te wykroczenia, mając zresztą na uwadze nie tyle zabezpieczenie prawa autorskiego, ile przepisów cenzury.

Szczepańskiemu wymierzono karę porządkową w wysokości 50 zł i ostrzeżono, że jeśli jeszcze raz dopuści się podobnych przewinień, drukarnia jego zostanie zamknięta. Była to pierwszy poważniejszy konflikt Szczepańskiego z policją, ale nie ostatni. W czerwcu 1830 r. nakazano miejscowej policji przeprowadzenie stałych, co najmniej kwartalnych rewizji w drukarniach, litografiach i szycharniach „dla przekonania się czyli roboty w nich napotykanie są za dozwoleniem cenzury uskutecznionymi”.

Trzeba przyznać, że Szczepański, który już raz stracił zaufanie u władz, był stale o coś podejrzewany, bez przerwy wzywany do składania zeznań, gnębiony podatkami i egzekucjami. Zapewne celem stworzenia sobie lepszych warunków pracy przeniósł drukarnię w 1832 r. do swego majątku na Bielszczyznę (dzielnica Lublina). W specjalnym raporcie pisał o tym Urząd Muncypalny do naczelnika wojennego województwa lubelskiego, majora Hurki:

Na skutek polecenia JW Naczelnika Wojennego w dniu wczorajszym wydanego ma honor odraportować, iż pan Kazimierz Szczepański jeszcze za rządów austriackiego miał pozwolenie utrzymywania drukarni i Urząd Muncypalny nie posiada od swej władzy żadnego rozporządzenia, aby panu Kazimierzowi Szczepańskiemu zabronił utrzymywania drukarni. Co się tyczy jego postępowania w czasie burzeń rewolucyjnych, spokojnie się zachował, nigdzie nie wyjeżdżał i żadnego nie miał udziału. Lecz przy tym Urząd Muncypalny ma honor JW Naczelnikowi przedstawić, że pan Szczepański w 1832 r. przeniósł swoją drukarnię na Bielszczyznę do obwodu lubelskiego, a tu tylko czasami przychodzi do swej kamienicy, w której ma znaczny skład książek.

Celem zbadania tej „podejrzonej” sprawy powołano komisję śledczą. Jej pierwszym posunięciem było zamknięcie i opieczętowanie dru-

Kazimierz Szczepański

Księgarz i drukarz lubelski

Mieczysława Wełna-Adrianek

książek z innymi profesjami, przed czym nie mogły się ustrzec nawet tak znakomite firmy księgarskie w Lublinie, jak Arctów i Klesewetterów.

Odegrał on również pewną rolę w lubelskim drukarstwie, bardzo naówczas skromnym. Około r. 1808 sprowadził drukarnię, którą nabył wraz z częścią giserni od sukcesora Piotra Zawadzkiego, wybitnego drukarza i odlewacza czcionek w Warszawie. W latach 1809 i 1810 ukazują się pierwsze druki z oficyny Szczepańskiego, ale potem nastąpiła przerwa aż do roku 1818.

Książki Kazimierza Szczepańskiego są bardzo starannie wydane, ładnie ozdobione, widać, że pochodzą z dobrego warsztatu typograficznego. Karol Estreicher wymienia w swej bibliografii 14 tytułów z oficyny Szczepańskiego. W rzeczywistości było ich więcej. Dość wspomnieć, że Ludwik Zaleski w „Przewodniku po wystawie druków lubelskich”, wydanym w Lublinie w r. 1939, wymienia dwa tytuły, których nie znał Estreicher. W r. 1825 wskutek skargi Klementyny Tańskiej skonfiskowano

ście egz. książki pt. „Wiązanie Elżbietki”, pochodzących z księgarni Szczepańskiego. Już wcześniej Szczepański podejrzany był o dokonanie przedruku „Momusa” edycji Alojzego Żółkowskiego i książki kucharskiej.

Przedruki były wtedy dosyć częstym zjawiskiem na polskim rynku księgarskim. Pisał na ten temat na łamach „Biblioteki Warszawskiej” (1862 t. 3) Karol Estreicher, wymieniając szereg księgarzy — nakładców, wśród nich i Szczepańskiego, którzy nie pytając autorów o pozwolenie dokonywali przedruku ich dzieł. Oczywiście przedruki dotyczyły książek cieszących się znacznym powodzeniem u czytelników, co nie zawsze oznaczało, że wydawnictwa te były dobrze widziane przez cenzurę. Takie właśnie było czasopiśmo „Momus”, które zyskało ogromną popularność, gdyż każdy jego numer zawierał spory ładunek myśli politycznych, zakamuflowanych zresztą w pozornie niewinnych anegdotach, dykteryjkach, faceciach. Bestsellerami były wtedy również książki Klementyny Tańskiej. Owcześnie władze bardzo

karni Szczepańskiego. Później komisja wprawdzie zezwoliła na ponowne otwarcie drukarni, ale pod warunkiem przeniesienia jej z powrotem do Lublina.

Szczepański jednak mimo kilkakrotnych wezwań nie przeniósł drukarni do Lublina. W r. 1836 starał się ją wydzierżawić Szal Ledermanowi, dzierżawcy drukarni rządowej, lecz umowa nie doszła do skutku z powodu wyników na te podjętym nieporozumień. Czynna była dopiero od stycznia 1840 r. przy ul. Nowej nr 116. Warto zaznaczyć, że zakres jej został bardzo poważnie ograniczony, gdyż faktycznie sprawował się do tłoczenia Dziennika Gubernialnego.

Księgarnia Szczepańskiego została definitywnie zamknięta w r. 1834. Dokonano wówczas konfiskaty znacznej ilości książek. Podczas ścisłej rewizji zabrano ok. pół tysiąca woluminów, co ostatecznie przesądziło o jej istnieniu. Już wcześniej rozwój księgarni był stale hamowany przez eliminowanie obrotu księgarskiego wielu druków, mogących — zdaniem oficjalnych czynników — „wywierać zbyt szkodliwy wpływ na umysł mieszkańców Królestwa i zakłócać ich spokój”. Rewizja, którą zarządzone w grudniu 1834 r. w całym kraju, według poleceń rządu miała być taką, iż rząd nie będzie miał potrzeby zamykania handlujących książkami i drukującymi dziełami, którzy przekonywali się o ścisłości, z jaką dopełnia się w niej i o środkach przedsięwziętych do zatamowania niedozwolonego handlu, utracą zapewne ochotę do zabronionej spekulacji, gdy ta więcej straci i niebezpieczeństwa, aniżeli zysku przedstawiać będzie.

Szczepański na próżno dopraszał się zwrotu przynajmniej części zakwestionowanych książek i ostatecznie zrezygnował z dalszego prowadzenia księgarni. W 1852 r. ogłosił, że chce ją sprzedać. Nabywcą był Moszek Wągmejster, zresztą już po śmierci Szczepańskiego, który zmarł 17 kwietnia 1854 r. i pochowany został na cmentarzu przy ul. Lipowej.

Listy do KAMENY

„KOLA” I WĄTLIWOŚCI

Miałem sposobność przeczytać zamieszczony w Waszym piśmie opowiadanie Zb. Strzałkowskiego pt. „Kola”. Lektura jego wzbudziła we mnie pewne wątpliwości. Oto one: 1. Dla kogo właściwie tworzy piśarz — dla siebie czy dla społeczeństwa? Jeśli dla społeczeństwa, to powinien liczyć się z uwrażliwością czytelników, z tym, że ich poglądy na istotę człowieka (a szczególnie dziecka) może być całkiem odmienną. Zdarzają się wyznacznicy, istnieją chłopcy-sadyści oraz wychowawcy, którzy nie dorosli do tego miana — są to jednak wypadki sporadyczne, którymi powinni zajmować się lekarz, psycholog i prokurator. Uwieranie ich w artystyczną formę nie ma sensu, bo ekspozycja patologii tego gatunku budzi obok współczucia — wstręt. Zaś pisarz — humanista nie powinien nigdy budzić wstrętu do spraw ludzkich — powinien ułatwić ich rozumienie.

Superwalnym autorowi — pisać jako nauczyciel — wysiłki w celu lepszego poznania dziecka, patrzeć nie na nie od mniej literackiej strony. To nie tylko temat — to człowiek, a my powinniśmy wierzyć w istnienie w nim dobrych stron. Być może, opowiadania o dzieciach miałyby wtedy nieco inny kształt — znalazłby się promyk nadziei i kropla wiary w przyszłość, bez czego życie jest w ogóle niemożliwe. 2. Czy postępowanie się „realiami” w postaci ryszotkowego słownictwa i lekceważenie ustalonych zasad wypowiedzania się są składnikami nowoczesnej twórczości? A może odmiana artystycznego snobizmu? 3. Czy nie byłoby rzeczą wskazaną pozostawienie przynajmniej w prozie tradycyjnego stosowania znaków przestankowych i zachowanie formy zdaniowej tekstu? Chciałoby się uratować przekonanie, że godziwy spędzone nad zeszytami uczniów mają wreszcie jakiś sens. A taki sposób pisania to chyba krok w stronę analfabetyzmu.

St. Lubieniecki
BIELAWA

DESZCZ... DESZCZ

Los (który sam sobie wybrałem) i okoliczności (które sam sobie stworzyłem) rzuciły mnie do Zakopanego. A sezon bardzo kapryśny. W maju halny, jakiego nie pamiętają najstarsi, potem niezwykle upały, a teraz deszcz i deszcz. Tylko targ z ciuchami funkcjonuje bez zakłóceń. Góralki sprzedają oscypki, ale owce na redyku w Bieszczadach i to zdziwienie krasule stały się dostarczyćkami mleka na owe serki.

Na wieczorne autorskim Sztudyngera w Domu Turysty 500 osób! W mieście afisze „Halka na stadionie pod Krokwią”. Szumią jodły na gór szczyt — będą śpiewać soliści patrząc na prawdziwe góry i na prawdziwe jodły”. Może będziemy to oglądać bez parasoli. I może jeszcze przyjdzie lato.

Artur Metera
ZAKOPANE

WIEŚ TWORZĄCA

Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych przesyła do wiadomości pismo, skierowane do kol. Walentego Jareckiego jako odpowiedź na jego list do Waszej redakcji.

Prezes Zarządu Głównego (Z. upow. — podpis nieczytelny)

W odpowiedzi na list Kolegi skierowany do „Kamena” (nr 14) zawiadamiamy, że egzemplarz III tomu „Wsi tworzącej” są do nabycia w księgarniach „Domu Książki” w Lublinie.

W załączeniu przesyłamy formularz zamówienia, które Kolega będzie mógł realizować drogą pocztową. Jednocześnie wyjaśniamy, że Wydawnictwo Lubelskie nie jest w stanie ponieść kosztów 129 egzemplarzy autorskich dla wszystkich autorów antologii, zwłaszcza przy tak ograniczonym jej nakładzie.

PLAKAT POLITYCZNY

Jak — w pierwszych latach po wojnie mieliśmy rzeczywistość mobilizujący, sugestywny, walący plakat polityczny. Bardzo mnie poruszył artykuł p. Kamińskiego na ten temat. Ale równocześnie chyba nie tylko mnie ciśnie się na usta pytanie, dlaczego taki plakat nie powstaje dzisiaj, a przynajmniej tak rzadko? Nasze plakaty filmowe czy teatralne są rzeczywistości wysoce cenione na świecie. Szkoda, że taką cenę nie cieszą się w kraju plakaty polityczne. A przecież jest okazja o co walczyć, do czego mobilizować. Czyżby większość plastyków wystarczały dziwadła i chałturki?

Wojciech Stanisławski
BIALYSTOK

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIALYSTOK

W nowym roku akademickim zostanie tu otwarte Zawodowe Studium Administracyjne. Nauka odbywać się będzie systemem stacjonarnym przez okres trzech lat. Absolwenci będą otrzymywać dyplomy równoznaczne z dyplomami wyższej szkoły zawodowej. Studium działać będzie przy nowo powstałej filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku.

W salach Muzeum Okręgowo otwarto wystawę fresków z Supraślia. Ekspozycją wszystkie zachowane fragmenty unikalnych malowideł ściennych z ruin obronnej cerkwi w Supraśli, a odrestaurowanych w Pracowni Konserwacji Zabytków w Warszawie. Wystawę zorganizowano staraniem Wydziału Kultury PWRN, Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków oraz Muzeum Okręgowo.

Spoleczne Ognisko Muzyczne przy Białostockiej Spółdzielni Mieszkaniowej wyróżnia się sprawna działalnością i dobrą organizacją. Prowadzone są tutaj zajęcia w klasach fortepianu, akordeonu, gitary i mandoliny. W przyszłym roku szkolnym Ognisko poszerzy się o klasę fletu, klarnetu, perkusji i sekcję rytmiczno-baletową. Placówka korzysta z dużej pomocy ze strony zarządu Spółdzielni i Białostockiego Towarzystwa Muzycznego.

Białostockie Zakłady Przemysłu Welnianego im. Sierżana mogą się poz-

czyć doskonale zorganizowaną i zasobną bibliotekę przyzakładową. Księgozbiór liczy 7 tys. tomów, z czego 4,3 tys. pozycji to literatura piękna. W 1967 r. na zakup książek przeznaczono tutaj 11 700 zł. W celu popularyzowania czytelnictwa wśród załogi organizowane są wystawy nowości wydawniczych, konkursy czytelnicze, kiermasze książkowe.

KIELCE

W części artystycznej uroczystej sesji Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu i Wojewódzkiej Rady Narodowej, jaka odbyła się w Kielcach z okazji 24 rocznicy Święta Odrodzenia — wystąpił Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej.

W ramach tegorocznych Świętokrzyskich Dni Kultury odbędzie się m. in. dwa interesujące sesje popularnonaukowe: „KPP w Kielcach i Kielecczyźnie” oraz „Kielce w literaturze”. Ciekawie zapowiada się zjazd pisarzy wywodzących się z Kielecczyzny lub związanych twórczością z Kielcami.

W powiecie opoczyńskim dr Roman Reinfuss z Instytutu Szuki PAN przystępuje do badań tutejszego budownictwa ludowego. Chodzi m. in. o dokonanie ewidencji istniejących w powiecie zabytków budownictwa wiejskiego.

W Muzeum Regionalnym w Sandomerzu wielkim powodzeniem wśród turystów cieszy się wystawa — „Historia oręża polskiego”.

W konkursie czytelniczym „Rodzina współczesna” wzięło udział ponad 2 tys. czytelników z województwa kieleckiego. Największe zainteresowanie konkursem wykazał powiat Kazimierski Wielki. Wstępne eliminacje konkursu odbyły się z 259 miejscowościach.

LUBLIN

Jak wkrótce LPBM przystąpi do budowy pomnika na Majdanku. Budowa będzie trwała ok. roku; uroczyste oddanie nastąpi w czasie obchodów Dni Majdanka. Pomnik składać się będzie z dwóch części: Bramy i Mauzoleum. Mauzoleum będzie miało kształt płaskiej kopuły o średnicy 23 m i 10 m wysokości. Zostanie ono użytkowane w pobliżu dawnego krematorium.

Dobra passa nie opuszcza Akademickiego Teatru UMCS „Gongol”. Podczas lipcowych spotkań artystycznych zespołów studenckich „FAMA”, które odbyły się w Swinioujściu, teatr otrzymał pierwszą nagrodę w kategorii teatrów studenckich za przedstawienie „Wielkiego testamentu” Francois Villona. Reżyseria Andrzeja Rozhina.

Staraniem dyrekcji Lub. Biura Projektów Budownictwa Ogólnego i Lubelskiego oddziału SARP w lokalu Biura przy Rynku Staromiejskim pod nr 18 otwarto wystawę rysunków Stanisława Noakowskiego. Wystawę zorganizował badacz spuścizny S. Noakowskiego w ZSRR, mgr inż. arch. Tadeusz Witkowski, pracownik LPBPO.

W odróżnieniu od lat poprzednich Teatr im. J. Osterwy nie zawiesił działalności w sezonie ogórkowym. W lipcu wystawiano „Wierna rzeka” wg S. Zeromskiego, od 1 sierpnia na scenę wyszła komedia kryminałowa Roberta Thomasa „Niewidzialny morderca”. Szkoda, że śladami teatru nie poszła lubelska „Estrada”.

Na zaproszenie ministerstwa kultury i sztuki ZSRR Zespół Tańca Ludowego UMCS wyjechał do Związku Ra-

dańskiego. Studenci wystąpili na Wzzechwiskowym Festiwalu Narodów Związku Radzieckiego w Kisyniowie prezentując tańce regionu lubelskiego, a także tańce białoruskie i ukraińskie.

RZESZÓW

Z okazji Święta Odrodzenia Przewodniczący WRN przesyła trzem rzeszowskim dziennikarzom — red. red. Helenie Wisniewskiej, Tadeuszowi Hejdzie i Tadeuszowi Pacowi odznaki „Założony dla Województwa Rzeszowskiego”. Gratulujemy.

W Białymstoku czynna jest wystawa malarstwa i grafiki członków Rzeszowskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Natomiast we wrześniu w rzeszowskim Domu Sztuki zostanie otwarta wystawa prac trzech artystów białostockich: Mikołaja Wolkowskiego, Stefana Rybego i Jerzego Lengwicza.

Rozstrzygnięto ogłoszony przed kilku miesiącami przez Muzeum Okręgowo oraz Wydział Kultury i Handlu PWRN konkurs na pamiątkarstwo regionalnej woj. rzeszowskiej. I nagrodę przyznano Janowi Ligajowi za obraz o tematyce bieszczadzkiej, II nagrodę otrzymała Barbara Sieręga za figury i pudło na szachy, a III — Andrzej Mróz za ozdoby metalowe kute w miedzi, wykonane wg wzorów ludowego kowalstwa rzeszowskiego.

W Łańcuchu — nowa atrakcja turystyczna. Chetni mogą wypocząć stylowy pojazd konny i odbyć przejażdżkę przez malownicze okolice dawnej magnackiej rezydencji. Godzinny spacer karetą lub otwartym powozem kosztuje 100 zł. Przy okazji warto odwiedzić, że ostatnio zamek łańcucki odwiedza codziennie 2,5 tys. osób. W dni świąteczne przybywa ich około 4 tys.

W salach Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemyslu otwarto wystawę malarstwa artysty plastyka Zenona Henryka Rachwałskiego z Opola, z pochodzenia przemysianina.

O DWAGA podejmowania przedsięwzięć przekraczających przeciętne możliwości i wytrwała konsekwencja Stefana Szolca Rogozińskiego mogą zaimponować. Pod urokiem jego osobowości pozostaje też Hanna Szumańska Grossowa, autorka książki „Podróż Stefana Szolca Rogozińskiego”. Książka ta stanowi zresztą typowy przykład ulegania biografisty wpływowi osobowości bohatera. Bez zaangażowania uczuciowego trudno wyobrazić sobie jakąkolwiek monografię biograficzną, ale książka Szumańskiej Grossowej (mimo oparcia na gruntownych studiach źródłowych) jest jednak ponad miarę „sercem pisana”.

Dojrzałe życie Stefana Szolca Rogozińskiego przypadło na ostatnie dziesięć lat XIX wieku, kiedy podział świata między największe potęgi imperialno-kolonialne został już dokonany. Szolc Rogoziński, nasz rodak z Kalisza, który zdołał obejrzeć co nieco świata służąc w marynarce rosyjskiej, pragnął jednak (było to ponoć marzeniem jego życia) zaznaczyć jakoś na mapie świata imię nie istniejącej wówczas Polski. Przypadek (uszkodzenie fregaty „Generał Admirał”, na której Szolc pływał w stopniu mizmana) sprawił, że zainteresował się on afrykańskim interierem (ściślej Kamerunem) i z całą energią zabrał się do studiowania dzieł naukowych odkryć geograficznych, w głównej zaś mierze prac słynnych ówczesnych podróżników i odkrywców, Anglika Stanleaya oraz Francuza de Brazzy. Musiało być coś w atmosferze tego czasu, o kierowało uwagę takich zapaleńców jak Szolc Rogoziński w kierunku podróży, poznawania świata, konfrontowania siebie z niebezpieczeństwami przygody morskiej. Dość powiedzieć, że Rogoziński był tylko o trzy i pół roku młodszy od Josepha Conrada Korzeniowskiego — i że o mały włos ich drogi nie zetknęły się w obcych portach.

Nie pozabawiony pikanterii jest fakt, że właśnie w Kamerunie Stefan Szolc (nazwisko Rogoziński przyjął po matce, warszawiance), potomek niemieckiej rodziny fabrykarskiej sukienników z Kalisza i wychowanek szkoły niemieckiej we Wrocławiu, postanowił wyprzedzić zaboreze zabieg plenipotentów „żelaznego kanclerza” Bismarcka i zaznaczyć obecność Polaków w Afryce. W tym celu począł czynić zobowiązania finansowe (jak się następnie okazało, zbyt pochopnie) a conto fortuny ojca, liczył na prezent w postaci statku od... króla Belgów, na tej „podstawie” wciągnął do udziału w wyprawie do Afryki kilku Italczyków itd. Przedsięwzięcie Rogozińskiego wyglądało więc od początku niepoważnie, a przecież mimo to uwierzyli mu bardzo skąd inąd poważni i zacięli ludzie z redakcji warszawskiej „Wędrowca”, m. in. Filip Sulimierski (główny orędownik i obrońca kameruńskiej ekspedycji Rogozińskiego), a nas-

tepnie Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus. Czym przeto wytłumaczyć owó zafascynowanie (bo o nim może tu być tylko mowa) ryzykownym i budzącym wiele wątpliwości pomysłem Szolca Rogozińskiego? Szumańska Grossowa na to pytanie nie daje w swej książce zadowalającej odpowiedzi.

Faktem przecież stało się, że awanturnicy i nad wyraz ryzykowny pomysł afrykańskiej ekspedycji Rogozińskiego naraził na straty materialne wszystkich towarzyszy jego wyprawy (wosi wycofał się wcześniej z tej imprezy); jeden z uczestników wyprawy, Kiemens Tomczek, zmarł na czarną chorobę w Kamerunie; na marne poszły dość znaczne pieniądze ze składek społecznych, zgromadzone w wyniku kampanii praso-

wej „Wędrowca”... Ale faktem stało się też i to, że Rogoziński zmarnotrawił pokazne środki finansowe własne, z ogromnymi oporami i w części tylko oddane mu w użytkowanie przez ojca, wyrachowanego kalkulatora. Na co liczył i czym zjednywał ludzi Stefan Szolc Rogoziński, przedkładając swój plan wyprawy do Kamerunu? Przede wszystkim bodaj ludzi się, że wyprawa stworzy „możliwość szybkiego zdobycia fortuny”. Szydził do żywego z tych mrzonek trzeciury Aleksander Świętochowski w „Prawdzie”. Sprawa toczyła się potem przez czas dłuższy na łamach warszawskiej prasy pomiędzy Świętochowskim właśnie, a Sienkiewiczem (w „Słowie”) i Prusem (w „Kurierze Warszawskim”). I po prawdzie należałoby chyba ów czas Rogozińskiego rozpatrywać jako konfrontację młodzieńczych porwołów romantycznych z surową rzeczywistością starych pozytywistów, która do białosci rozpaliła w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia opinie publiczną kraju. Szkoda więc, że autorka książki (uwzględniając bardzo obfity materiał dokumentacyjny) nie przeprowadziła pod tym kątem analizy zarówno samej wyprawy Rogozińskiego, jak i całego prasowego huk, jaki wywołala.

Autorka modeluje tymczasem postać swego książkowego bohatera jako od początku do końca monolityczną i niezmienną, co mimochęć niepotrzebnie idealizuje i po trosze zniekształca prawdę o Rogozińskim, który inne przekonania musiał mieć przecież „mizmanian” w rosyjskiej marynarce wojennej, inne w trakcie przystępowania do realizacji swojej ekspedycji, a jeszcze inne po doświadczeniu niepowodzeń swojego przedsięwzięcia. Nie należałoby mu też odmawiać (bo nie ma w tym nic zdrożnego na owe czasy) pewnych złudzeń natury kolonizacyjnej czy eksploatorsko-handlowej. Oświadczenia tego rodzaju składał przecież sam Szolc Rogoziński publicznie — i one mogły również nastawić już na początek sceptycznie do jego ekspedycji afrykańskiej najpierw człowieka, który znalazł go najlepiej (tzn. ojca), następnie człowieka, który z koleż znakomicie orientował się w sytuacji społeczno-politycznej kraju i świata (tzn. Świętochow-

skiego). Nie należałoby przy tym bagatelizować również oświadczeń współtowarzyszy ekspedycji Rogozińskiego, którzy mieli okazję poznać go bliżej dopiero w trakcie podróży (tzn. Leopolda Janikowskiego i Walerego Tomaszewskiego). A nadto bardziej krytycznie należałoby się także odnieść do konfliktu Rogoziński — jego żona Helena Janina z Boguckiej Szolc Rogozińska, znana pod pseudonimem literackim Hajota.

Słowem, osobowość Stefana Szolca Rogozińskiego należałoby rozpatrywać nie tylko na tle atmosfery umysłowej epoki, ale i na tle wiedzy psychologicznej o człowie-

jał się w „Słowie” Sienkiewicz. Uznajając bowiem celowość i aktualną przydatność społeczną przedsięwzięć, podejmowanych przez tego typu „energicznych marzycieli” i „ludzi czynu” co Stefan Szolc Rogoziński, trzeba je poddawać ocenie historycznej, dokonywanej z cniudnego dystansu, z uwzględnieniem wszystkich pro i contra. Rogoziński nie należał do ludzi chłodnych i szariorowych. Bez tego typu odważnych rewelatorów życie stałoby w miejscu. Toteż bardziej konkrewna i precyzyjna metodologicznie analiza osobowości Rogozińskiego od tej, jaką zaprezentowała w swej książce Hanna Szumańska Grossowa, mogłaby być bliższa prawdzie i bardziej pożyteczna w procesie dydaktyki społecznej.

Sama bowiem kronika wyprawy Rogozińskiego, jej wszystkie perypetie w portach francuskich, na

Niefortunny „palmowy baron”

Feliks Fornalczyk

ku; znamienne np. są owe objawy samounieczestnienia w rodzinie Szolców oraz schorzenia nerwowe samego Rogozińskiego u schyłku jego burzliwego życia. Hanna Szumańska Grossowa wspomina o tych faktach w swojej książce, lecz nie wyciąga z nich wszystkich nasuwających się wniosków; nie zajmuje bowiem krytycznego dystansu do sprzecznych z sobą źródeł, pozostaje pod urokiem bohatera swej książki i nie potrafi zdecydować się, co zaliczyć do głównych motywów jego działania.

Bo to istotnie zastanawiające, że ów przystojny, młody, majątyn syn kaliskiego fabrykanta mógł przecież z łatwością obrócić te atuty dla stworzenia sobie jedwabnego życia w kraju, on natomiast nie uczynił tego, lecz zaryzykował niewygodny, zgrzyoty i niebezpieczeństwa najpierw żeglugi morskiej lugrem „Lucja Malgorzata”, potem afrykańskiego interieru w Kamerunie, gdzie łatwo było nabawić się różnych przypadków, łącznie z chorobami i śmiercią, tylko nie bogactwa i sławy. Szumańska Grossowa, szukając motywów działania Rogozińskiego, akcentuje przede wszystkim jego dążenie do dokonywania odkryć naukowych natury geograficznej i etnograficznej. Ale to prawda niepełna, a przynajmniej nie do końca umotywowana i zinterpretowana przez autorkę. Pewnie, trudno po latach, kiedy oświadczenia, jakie po nim przetrwały, są rozbieżne i tendencyjne, ustalić i nazwać jednoznacznie jego dążenia, intencje i wszystkie (zmieniające się nieuchronnie z biegiem życia) motywy postępowania.

Lecz (bez względu na wynik) próby precyzowania takich ocen są konieczne, gdyż w przeciwnym przypadku człowiek współczesny, znający wagę właściwego przygotowania tego typu ekspedycji, skłonny jest przyznać w niejednym punkcie rację zarzutom Świętochowskiego, który kwestionował kwalifikacje fachowe Rogozińskiego na kierownika wyprawy, a nie obronie, jakiej pod-

morzu i wreszcie na Czarnym Ładzie, jest bez kwestii intrygująca i sumiennie odtworzona przez autorkę z wielu różnych, częścią zupełnie nieznanymi, źródeł (przede wszystkim ze zbiorów po Karolu Zakrzewskim). Odtworzona zresztą została ta kronika w szlachetnej, choć jednostronnej intencji, z myślą — jak pisze Szumańska Grossowa — o oddaniu sprawiedliwości „pięknemu uporowi ludzi (dodajmy, że z ośmiu tylko czterech dotarło w składzie ekspedycji Rogozińskiego do Afryki, a z nich tylko dwaj poszli w głąb nieznanego ładu), którzy chcieli wydrzeć tajemnicę ziemi bardzo dalekiej i nie będącej żadną prowincją ich ojczyzny”. Ale taki charakter nosila przede wszystkim pierwsza ekspedycja Stefana Szolca Rogozińskiego z lat 1882—1885, jako że później — w latach 1886—1891 — występował on już na gruncie afrykańskim jako właściciel plantacji kakaowej i niezbyt fortunny „baron palmowy”.

* Hanna Szumańska Grossowa: „Podróż Stefana Szolca Rogozińskiego”, PIW, Warszawa 1967, str. 385, 3 nfb.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI.

Informacji w sprawie numeracji udziela płaćwki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Raclawickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35 tel. 255-93

Korespondencję zwykłą prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — na adres redakcji.

Zam. 2431 31.VII.68. C-6

Książki nadesłane

- opowiadania, przełożyła Witolda Jurkiewicz, Warszawa 1968;
Jacques Borel — Uwielbienie (KIK), przełożyła Zofia Jarekmo-Pytowska, Warszawa 1968;
Grodziana Olujie — Nie budź śpiących psów, przełożyła Maria Krukowska, Warszawa 1968;
Czینگ Ajmatow — Zegnaj, Gulsary! — przełożyła Marta Okotow-Podhorska, Warszawa 1968;
Marjan Kubicki — Listopad, Warszawa 1968;
Roman Kolonicki — Sen bez snów, poematy i wiersze z przeszłości, Warszawa 1968;
Edgar Lee Masters — Umarli ze Sporn River, wyboru dokonał Michał Sprasiński, wstępem opatrzył Jan Prokop, Warszawa 1968;
Frantisek Hrubin — Złota renetta, przełożył Andrzej Sieczkowski, ilustrowała Bożena Bratkowska, Warszawa 1968;
Hortense Calisher — Na krańcach magii, przełożyła Agnieszka Głimeczka, ilustrował Feliks Falk, Warszawa 1968;
Jan Wyka — Przywidzenia — (wiersze z lat 1967—1968), Warszawa 1968;
Leopold Infeld — Kordian, Fizyka i Ja, wspomnienia, Warszawa 1968;
Iwan Mielez — Ludzie na błotach, przełożył Eugeniusz Kabate, Warszawa 1968;
Hajka ludowa w dawnej Polsce, wybór i opracowanie Heleny Kapelań, słowo wstępne Juliana Kryżanowskiego, Warszawa 1968;
Jerzy Niemojewski — Ewokacje, krótką antologią poezji Ameryki Iberyjskiej, Warszawa 1968 r.
Kazimierz Czachowski — Między romantyzmem a realizmem, opracował Adam Czachowski, wstępem poprzedził Jarosław Maciejewski, Warszawa 1967, wydanie I;

NOTY i notki

NIEZWYKLE REWELACJE przyniósł „Kurier Lubelski” z 22 lipca br. w artykule podpisanym przez Kazimierza Janczykowskiego i Zbigniewa Hirszę. Dowiedzieliśmy się więc, że Chelmu został wyzwolony już 28 lipca 1944 r. Po południu tego dnia „przyjechali do Chelma członkowie PKWN... Komitet redakcyjny odezwał do narodu polskiego w osobach: Wanda Wasilewska, Bolesław Drobnier i Wincenty Witosa nawiązał kontakt z drukarnią...” Pamięć ludzka jest zawodna, ale nazwa historii najnowszej, który artykuł firmował u góry własnym nazwiskiem, mógł za Krystyną Kersten, autorka głośnej książki o tych czasach, stwierdzić autorytatywnie, że Chelmu został wyzwolony 22 lipca, że pierwszy członkowie PKWN przybyli do tego miasta 22 lipca i nie było wśród nich ani Wandy Wasilewskiej ani Wincentego Witosa, który ukrywał się na Podhalu. Był natomiast Andrzej Witos. Poprawić można było jeszcze i inne nieścisłości, tym bardziej, że nie trzeba było w danym wypadku sięgać do wykopalisk, ale do... dokumentów.

NR 13 ZIELONOGÓRSKIEGO „NADODRZA” przyniósł na pierwszej stronie krzyżówkę, humoreskę, felieton na tematy filatelistyczne i zdjęcie dziewczyny. Pardon, są jeszcze i fraszki. Jedną z nich brzmia: „Każdy z nas wieszczą czuje chęć do Wielkich Improwizacji. Próbuje zatem. Dalej więc: Rzeczpospolita zapłaci”. Wydaje się, że przy redagowaniu pierwszej strony wieszczą chęci redakcji zabrakło. Nie badamy jednak zrytliwi, bo wielkich improwizacji mamy po dziurki w nosie.

W „TYGODNIKU DEMOKRATYCZNYM” Wiktor Eysymontt opisuje swą podróż do Moskwy. Znajdujemy tam takie zdania: „Po kilku godzinach — budzenie! „Prosimy, po myciu, na śniadanie”. Zdumienie, że tak wcześnie — dopiero szósta rano... Nie — jest już ósma. Trzeba było po przekroczeniu granicy przesunąć wskazówki zegarka; tu obowiązują czas wschodnioeuropejski — jest już dwie godziny później”. No, no, jakich to rewelacyjnych rzeczy można się dowiedzieć od p. Eysymontta?

M. RADGOWSKI ZAMIESCIŁ w „Polityce” felieton („Naglemu dobrane”) poświęcony zagadnieniu nudyżmu. W rubryce „Listy do redakcji” „Polityka” opublikowała wypowiedź p. A. Mikuckiego z Krakowa, który bardzo chwali i felieton i sam nudyżm. Pod wypowiedzią p. Mikuckiego redakcja wydrukowała inny głos p. M. Dąba z Kolostrzcu. Siewierza on, że artykuł Radgowskiego jest głupi i nudny. Może zainteresować jedynie „półgłówków” lub „długowłochów”. Ciekawe, czy p. Mikucki chodzi do fryzjera?

DOBRE SIĘ BAWI na urlopie red. Mirosław Malcharek z „Wykrywców Współczesności” (ładnie to polaczyć, który już po raz drugi przysłał kolejne podzwolenia z urlopu wraz z zdjęciem skąpo ubranej dziewczyny. Pracownicy „Kameny” przesyłają z urlopu tylko zwykłe widokówki. Red. Malcharek musi ich poduczyć.

JOTEL żali się w 157 n-rze sympatycznego „Sztandaru Ludu”, że nawet Jacek z sympatycznej „Kameny” stracił pod wpływem sło-

necznych promieni animsa — przestał pouczać lubelskie gąsdy. Można Jaceka zastąpić i pouczyć Jotela; nie pisze się „spora ilość mieszkańców”, ale „spora liczba mieszkańców”. Nie pisze się „Jednym słowem”, ale „słowem”. I wreszcie „kto żyw wyruszył do Sopotu”, a nie „do Sopot”. Disce, puer... (kolejny Jotela przetłumacza).

MAJ

W KOŚCIELE KATOLICKIM rzeczywiście przeprowadza się różne reformy, ale żeby aż takie? „Kierunki” w nr 25 donoszą, że na drzwiach fary w Pucku chyba jakiś postępowy ksiądz wywiesił tekst „Psalom dla wczasowiczów”. Bardziej biegły w piśmie odkrył, że jest to stary, poczciwy psalm oznaczony numerem 176, którego autorem jest król Dawid. Czyżby mały król był aż tak przewidujący?

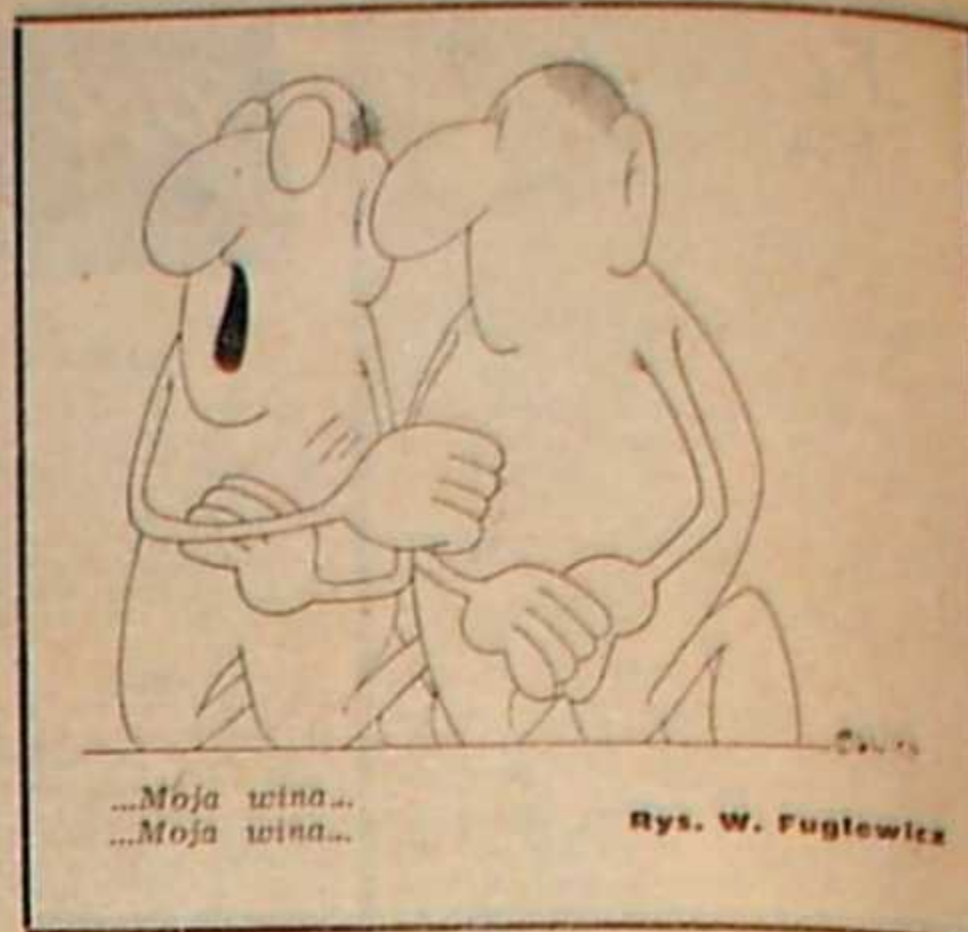
W FORMIE FIKCYJNEGO LISTU do anonimowego profesora Stanisław Harasimiuk w pracy, która otrzymała I nagrodę w konkursie „Życia Literackiego”, opisuje swoje niezwykle perypetie w pewnej fabryce. W Lublinie wszyscy dobrze wiedzą, o jakiego dyrektora chodzi. Ale złączone przez redakcję zdjęcie przedstawia niechybnie fragment fabryki chemicznej, a w tekście wyraźnie jest mowa o fabryce metalowej. No cóż — nie sama literatura redaktorzy „Życia” żyć powinni.

CHCIAŁEM W LUBELSKIM PDT kupić 20 kasek maszynowych. Było tych kasek kilkanaście tysięcy, ale ekspedientka odpowiedziała, że albo spręda mi całe 100 arkuszy, albo nie. Na drugi dzień zadzwoniłem do „resortowej” pani z działu handlowego, która oznajmiła mi, że za 5 minut będę mógł kupić dowolną ilość kasek. Ale gdy przyszedłem po 3 godzinach, ekspedientka swoje: albo sto albo nie. Nie pomogły argumenty, że zanim użyję 20 kasek to pozostałych 80 będę musiał wyrzucić, bo wyschną. Poszedłem do dyrektora — nie było. Zastępcy dyrektora też nie. Kierownika piętra też nie. Owe! pani „resortowej” też nie. W rezultacie ukradłem kaski z redakcji, chociaż były mi potrzebne do pisania tekstów, nie mających nic wspólnego z redakcją. I tak wskutek biurokratycznego PDT stałem się złodziejem.

ROZUMIEM, ZE KOL. KOZIOL z „Nowin Rzeszowskich” nie musi umieć grać w szachy. Ale w takim razie nie powinien dawać podpisu pod zdjęciem w nr 181, że sympatyczne dziewczątka grają w szachy, bo przecież widać całkiem wyraźnie, że grają w warcaby. A ponadto czy rzeczywiście „na deszcz najlepsze są szachy”, zwłaszcza dla nastolatków?

NA FESTIWALU PIOSENKI RADZIECKIEJ w Zielonej Górze wyróżniony został m. in. zespół niewidomych dziewcząt z Bydgoszczy „Bezalki”. Ale w koncercie finałowym zespół nie wystąpił. W przeddzień bowiem przyjechał z Warszawy Zespół Ważnych Osobowości. Więc dziewczęta odesłano do domu, aby nie blokowały miejsc w hotelu. Niestety Zespół Ważnych Osobowości nie wystąpił na estradzie, ale mimo to zebrał wcale pokaźną ilość decybeli w gwizdach oburzonej publiczności.

JOD



Parodia
w układzie
Andrzeja Tchórzewskiego

Aleksander Macedoński

12 zł placą mi za werset
12 zł placą mi za werset
12 zł placą mi za werset
12 zł placą mi za werset
12 zł placą mi za werset
12 zł placą mi za werset
12 zł placą mi za werset
12 zł placą mi za werset
12 zł placą mi za werset
Ja nie frajer — dość szargania uczuć!

Miron Białoszewski

J-o-e-e-e dna otwockodoba
nie uchyli okna
ka-wa-tery szcelne jej się nuco
przyspiwują:
mironku mój mironku holyszu śmiertelny
u octwockodób szukasz wytchnienia
a za oknem zakonnica
zżeliła józia po doczesnych grabiach

Stanisław Grochowiak

Baby

Tłuste, baby tłuste,
Tłuste, węgrowate,
Kolorowe chusty
I spódnice w kraty.
Chude baby, chude,
Chude jak pomiotło,
Kaźda ma okrutne
Wystające biodro.

POSTE-RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste-Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste-Restante honorarium nie placimy.

Dziś drukujemy wierszyk p. Krystyny P. z Lublina (tegorocznej maturzystki) pt.:

„K I K I”
(Co interesuje „złota młodzież”)

„Kiki” — to nie jest z łaciny ani nie jest to świętostwo ani żadna bzdura. To jest chłopak, przebiegły taki sam jak inni, tylko, że ma często twarz trochę ponurą. Trochę roztargniony, lubiący dziewczęta i wino. Szanujący kolegów i nigdy nie mający na kino. Czasem chodzi do szkoły, a nawet pracuje. Czy coś zarabia? To nas nie obchodzi, tym się jego matka zajmuje. A co was interesuje? No, czy umie tańczyć czy dobrze łączyć, czy chodzi na super prywatki? To są tematy, którymi dotychczas młodzież się interesuje.

MINUTA MYŚLENIA

Portrety na resorach

CZYTELNIK to jest ktoś, kto czyta, ale równocześnie żyje. To znaczy — poznaje sytuację ludzką za pośrednictwem lektury, a też sam się w nich znajduje. I przy konfrontacji przeczytanego z przeczytym wysuwa ciche oskarżenie pod adresem swego szarego, mało atrakcyjnego losu.

Gdzie mu tam do ciekawych, pełnych dynamiki okoliczności przeżywanyc przez kogoś innego. Taki np. Hamilton (patrz nr 20 „Kultury”). Jedzie sobie pociągami, zasypia i po przebudzeniu widzi przedział wypchany zakonnikami. Po następnym przebudzeniu — wojkiem. To mu znów jakiś pan peroruje pod adresem „pani na delegacji” (wiadomość otrzymana chyba drogą telepatii) następującymi słowami, znajdując ku temu sposobność własną w trakcie podróży: „Jak wy, koleżanki, taka nieubodowana będziecie, to ja was w porozumieniu z dyrektorem przekwalifikuję z umysłowego na fizycznego”. Widzi też, jak „nastolatka uwodzi pana podobnego do spikera telewizyjnego”, a nawet ma pełną podstawę do przypuszczenia, że ten pan „stracił dziś cnotę”. Co za koloryt, co za kontrastowanie ludzkiego środowiska, co za inwenzja przypadku jakże obficie podającego ewenementy bycia i życia. Ach, być Hamiltonem! Mnie nigdy nie

przypadło znajdować się na scenie tak świetnie wyreżyserowanej przez samą rzeczywistość. Owszem, jakieś tam gadu-gadu, jakieś tam wyjście na papierosa, ale żeby taki koncentrat obyczajowości i charakterologii w jednym przedziale...
Bywa. Ale pod warunkiem: że ten przedział znajduje się w felietonie. Warunek drugi jeszcze bardziej zasadniczy: że autor felietonu chce go napisać nie trafnie, ale „inteligentnie”. Dlatego wyjmuję zeń wszystko, co może być obrazem życia, a wkłada na to miejsce swoje stylizowane konstrukcje. Co mu tam niekulturalna „magma rzeczywistości”. Spolaryzować ją, wytworzyć „napiecie intelektualne”, a od razu niejako gładzenie rozszepści się na sekwencje z dramatów Mrocha.
Zmora „interesującego” pisania. Pisanie starającego się zainteresować nie wnikliwością analiz i penetracji rzeczywistości dziejących się zjawisk, ale umiejętnościami „podprawiania” rzeczywistości, łatwością chwytania jej

w sieć apriorycznie zawieszonych kategorii.
Czy inaczej postępowy schematyzm — ten z lat pięćdziesiątych? W akcesoriach tylko. Tam murarz nie, tylko tępkił do twórczego uścisku cegły z wapnem, a jeśli do swego uścisku z niebieską, to tylko z wysokości rusztowania. Tutaj obywateli PRL masowo wtacza się w ramki stylistycznych zwrotów. Meble w stylu Ludwika XIV, portrety w stylu Hamiltona LXVIII.
I to wszystko w wyniku podróży liczącej „kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy kilometrów”, odbytej pociągami po Polsce. Metafora? Niewątpliwie. Tylko z całym oświetleniem Warszawy w wieczór państwowego święta szukaj jej desygnotu „Metafora bufora” — jak pisał K. I. Gałczyński.
Ijon

BIG-BEAT

„Regionalna” melina

PANIE Redaktorze! Najpierw mały papieroturniej. Jeśli odpowie Pan po pierwszym zdaniu — ma Pan pięć punktów.
„Różaj zimozielonych krzewów lub drzew wysokości 3-6 m z rodziny marzanowatych, pochodzenia afrykańskiego i uprawianych w strefie międzyzwrotnikowej, głównie w Afryce i Ameryce Południowej...”
Nie wie Pan? To teraz za trzy punkty: „ów krzew czy drzewko ma liście naprzeciwległe, skórzaste, często nagie, kwiaty zaś

pachnące, białe, zielone, siedzące lub krótkoszypkowe, zebrane po 4-16 w kątach liści...”
Ciagle Pan nie wie? Może Pan więc zarobić tylko jeden punkt: „owoce są okrągłe lub wydłużone, suche lub mięsiste o jednym lub dwu nasionach, zwanych ziarnami...”
I dalej nie? Oj, oj, przypomina mi się ta impreza telewizyjna z ogródka łódzkiego nadana wieczorem 3 sierpnia. Pewien pan trzymał w rękach cegły, a pewna pani odpowiadała na pytania. Biedaczka nie wiedziała nawet, gdzie leży Oslo, a Kanał Sueski ułożona w miejscu Kanału La Manche! Nagroda w postaci żywej geśki była najzupełniej na miejscu. Dziwiłem się tylko, że ów pan zachował taki stoicki spokój. Ja bym tych cegieł nie utrzymał przez 10 sekund...
Proszę się nie obawiać. Ja nie mam cegły ani w ręku ani w kieszeni. Nie zarobił. Pan jednak punktu na tej kawie, bo ja właśnie miałem na myśl organizując ów mały papieroturniej.
Między Bugiem a Odrą pija się kawę w urzędach (to na pierwszym miejscu), w mieszkaniach prywatnych i — niekiedy — w lokalach zwanych powszechnie kawiarniami. Wydaje mi się jednak, że kawiarnie, przynajmniej kawiarnie lubelskie, służą dziś wszystkim celem poza własne, tym, dla którego ponoć istnieją.

Czy Pan Redaktor był kiedyś wieczorową porą w „Regionalnej”? Jeśli nie — proszę kiedyś zajrzeć. Poszczególne stoliki okupują rozbrzykali młodzieńcy i wrzeszczące dziewczyny. Język jakim posługuje się do „towarzystwo”, nie nadaje się do powiórzenia. Podejrzane indywidua kraja po sali nie rzucają nawet zdając nakrycia głowy. Nie wiem, czy personel kawiarni — notabene dziewczęta ubrane w regionalne stroje pasujące do tutejszego klimatu jak bursztyn do koczucha — zaczęła, co goście konsumują w szklanceczkach. Kilkunastominutowa obserwacja wystarczy w zupełności. Tu się często pije to, co się przyniosło. A podobno istnieje zarządzenie mówiące o tym, że kto przynosi do lokalu własne napoje i konsumuje je podlega karze 4500 zł. Ha, ha!
„Regionalna” jest też miejscem, gdzie się załatwia różne większe i mniejsze interesy. Handluje się przy stolikach. Czym? To już mnie nie interesuje. Gorzej, że nie interesuje to również tych, których interesować powinno.
W centrum miasta mamy więc melinę usiłującą uchodzić za kawiarnię. Nie wiem tylko, dlaczego ta melina nazywa się „Regionalna”? Regionalna to inaczej lubelska. Ładne wyobrażenie o stolicy naszego województwa będą mieli przybyście z innych

miast, którzy na podstawie pobytu w „Regionalnej” zechcą wysnuwać zbyt daleko idące wnioski.
Wydaje mi się, że trzeba podjąć jakieś radykalne kroki. Niech mi nikt nie usiłuje wzmówić, że jesteśmy hezylini wobec zalewu chamstwa, że nie możemy reagować na ciemne interesy i bezczelne „podrywki” w publicznych miejscach. Dyrekcja LZG może przeprowadzić odpowiednie korekty w sprzedaży napojów alkoholowych, kelnerki mogą dopilnować, by konsumowano jedynie napoje zakupione na miejscu, organa MO zaś (po cywilnemu, panowie!) są w stanie zwrócić uwagę na działalność różnych niebieskich ptaszek i dziewcząt o wiadomej renomie. Jeśli przymknie się jednego czy drugiego młodzieńca, fama szybko się roznieśli.
Uwagi moje odnoszą się nie tylko do „Regionalnej”. „Regionalna” jednak najbardziej leży mi na sercu. Ten dawny lokal Semadeniego na trwałe związał się z tradycją naszego miasta. Przywrócić mu więc starą sławę. Przepędmy chuliganerie. Dyrektorze LZG Śródmieście, Komendancie KM MO — do Panów pij! Nie tylko... małą czarną!
Jacek

Odpowiedzi redakcji

„Świątek Ziemi Kieleckiej”. Prosimy się ujawnić, bo np. „Idyllic” moglibyśmy wydrukować w naszym dodatku „Ziemia i Pień”: anonimowych wierszy nie publikujemy.
„Locathor”. Pisze Pan w liście do redakcji: „Własne wycieczki wydają się każdemu cudownym wprost (tworem wielkiego talentu (własnego oczywiście). Ja również nie ustrzegłem się tego błędu, dlatego uprzejmie proszę Pana Redaktora o zamieszczenie tego reminiscencyjnego wierszyka w „Kamenie”, można nawet między pozostałymi kolumnami (oszczędność miejsca), może to podnieść również wartość banalnego artykułku, jakie od czasu do czasu również i „Kameny” zamieszcza”. Chętnie spełnilibyśmy Pana prośbę, niestety sądziłmy, że wiersz — mimo szlachetnej treści — też jest w gruncie rzeczy banalny. Inni już przed Panem, napisali na podobny temat daleko lepiej. A „brigadefuehrerowi” nie musiało się marzyć po nocach, że tacy jak on mają władzę. W tym czasie oni ją mieli rzeczywiste. Dlatego był Majdank i Oświęcim. Może Pan ma inne utwory?
E. K. w Warszawie. No cóż — przeczytaliśmy ów — jak Pan sam nazywa — wierszyk. Byłby jednak bardziej krytycznie doń nastawieni niż organizatorzy akademii pewnego PDK, którzy — jak Pan pisze — zakwalifikowali ten utwór do repertuaru artystycznego akademii z okazji 22 Lipca. Pyta Pan, czy wiersz ma szansę ukazania się w druku. Niestety — żadnej. Pod względem politycznym jest on wprawdzie bez zarzutu, ale wartości literackiej nie ma zupełnie. Tak Pan pisze o szkołach Tysiąclecia: „W tych nowych pomnikach tkwi przyszłość Narodu. / To droga do szczęścia — do zadowolenia. / Tam pracą wytrwała nauczyciel będzie / Przeobrażał pojęcia — uczył myślenia”. Właśnie!

W. K. w Białymstoku. Dziękujemy. Może już nawet w następnym numerze coś wykorzystamy.
J. L. z Lubelskiego. Piszesz: „Posyłam dwa wiersze”. Jestem nieomal pewna, że nie umiem „pisać”, ale postanowiłam się dowiedzieć jak to jest naprawdę. Mam 14 lat. Zawsze lubiłam utwory literackie. Sama też próbuję. Pisanie nie sprawia mi trudności (oczywiście takie pisanie). Jedno jest cenne w tym liście: masz dużo samokrytycyzmu, daleko więcej niż ludzie na pozór całkiem już dorośli. Przytaczamy Twój wiersz pt. „Wycinek z pamiętnika”: „nie wiem... / nie wiem czy żyć warto / może lepiej się podziak, zniknąć / w przestrzeni, w czasie — / może... / może raczej poszukać miejsca dla siebie, / w którym chciałoby się żyć zawsze, / nie wiem... / nie wiem jak mam postąpić... / postąpić wobec siebie, / żeby być kwita z sumieniem — / bo dziś brak mi odwagi, / by spojrzeć w przyszłość / z nadzieją i uwielbieniem”. Możesz nam wierszyk na słowo, że żyć warto. A o tym, czy umiesz, czy nie umiesz pisać (mamy na myśli pisanie wierszy) trudno jeszcze dziś powiedzieć. Na Twoim miejscu nie rezygnowałbyś. Masz dopiero lat 14, a więc cały świat przed Tobą. Dużo czytaj i odczytuj się za rok. Zyczymy powodzenia!
L. S. w Krakowie. Dziękujemy za rysunki. Kilka z nich wykorzystamy. Prosimy z nami utrzymać kontakt. W przyszłości prosimy jednak unikać półcioci, bo chemigrafia nie może z nich zrobić kreski tylko statkę. W rysunkach statki unikamy.
Z. A. Humoreski pt. „Kłopoty z brodą” nie wydrukujemy, nie mniej — wydaje się nam — że ma Pan pewne zacięcie satyryczne. Może warto więc dalej próbować.
Autor fraszek z Rzeszowa. Cytujemy: „TEREN TURYSTYCZNY. Twoj biust i twe kolana / Wycieczka niejednego pana”. „PRÓBA CNOTY. W nocie była wytrwała w nocie była stała / Dlatego się z chłopcami spotykać nie bała / Lecz gdy jej cnota próbie poddana została / Prób polubiła stałość — cnotę zaniedbała”. Wolimy jednak fraszki Sztaudyngera.